Rok I. Październik 1916. Nr. 8.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata za jedno półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo w Warszawie: Księgarnia Gebethnera i Wolffa — na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA

Rok I. Październik 1916 r. Nr. 8.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

Stosunek narodu do obcych.

Ciężkiem jest położenie narodu, którego zewnętrznem stanowiskiem nie może kierować własne państwo. Zazwyczaj jego stosunek do obcych określony jest w mniejszym stopniu przez świadomą refleksyę, a w większym przez podrażnione uczucia, przez wspomnienia z dziejów i teraźniejszości, w ostatniej instancyi przez instynkt samozachowawczy, który nie pozwala na stopienie się z zaborcą, na wejście w środek jego państwa. Ale nigdy nie wystarczą te czysto negatywne odruchy. Przychodzi chwila, w której koniecznem jest ich opanowanie i pokierowanie uczuć dla celów pozytywnych. Przychodzi czasem chwila — i taka chwila nadeszła obecnie — gdy naród staje na rozstajnych drogach, gdy musi pójść śmiało naprzód, choćby miał przydusić swoje uczuciowe reakcye, choćby miał zawrócić z kierunku, w którym brnął przez długie lata.

Dla powzięcia tak wielkiej, przełomowej dla przyszłości decyzyi, nie wystarczy sama znajomość własnego narodu i jego bezpośrednich stosunków z obcymi. Chcąc poznać siły, które działają w stosunkach międzynarodowych i określają kierunek ich rozwoju, trzeba oderwać uwagę od rzeczy zbyt bliskich, zwrócić się myślą ku bogatym doświadczeniom, których dostarcza wogóle nowoczesny rozwój życia narodowego. Wtedy się pozna istotę stosunków między narodami, ujmie się ją nie w jakieś bezwzględne prawa, lecz pozytywne wnioski, doniosłe dla bardzo wielu wypadków. Daleki nieraz przykład uczy bardzo wiele; chcąc rzecz całą

ogarnąć, trzeba się od niej odsunąć na chwilę. Cudze doświadczenia, usiłowania, zawody mogą bardzo wiele nauczyć. Linia nowoczesnego rozwoju społecznego i gospodarczego u wszystkich niemal narodów cywilizowanych biegnie w mniejwięcej jednaki sposób; bez znajomości tych sił, w danej epoce aktualnych, można chyba tylko dorywczo, po omacku, formułować zasady postępowania dla własnego narodu. A szczególnie bogatą skarbnicą tych doświadczeń jest obecna wojna, która ogarnęła niemal świat cały, wydobyła na wierzch to, co się kryło w głębi, przykryte mgłą frazesów, która ukazała światu istotne dążenia narodów, ich wzajemne zamiary. Rozwiała ona wiele legend, w które starano się przedtem ubrać rzeczywistość. Prysły humanitarne deklamacye, którymi lubiły się usypiać narody, zdeptane przez rozwój dziejowy w jaknajbardziej niehumanitarny sposób. Wczorajsi kosmopolici dzisiaj starają się wszystkich przelicytować jaskrawością swych haseł narodowych. Ludzie, którzy ustępowali miejsca gościnnie każdemu obcemu, byle go nie drażnić, byle czystości swojego patryotyzmu nie splamić nacyonalizmem, dzisiaj przeobrazili się w małych Bismarcków i krwią i żelazem wykreślają nowe granice, fantazyą swoją budują nowe państwa, kolonizują zawzięcie, niczem Komisya Kolonizacyjna, nie robiąc zresztą tej instytucyi żadnej konkurencyi.

Można coprawda uznać wojnę za objaw patologiczny i twierdzić, że ona wykoszlawia stosunki i że dlatego niepodobna na materyale, którego ona dostarcza, wznosić trwałej budowy. Ale jakimś objawem patologicznym nie jest ona pod jednym względem: nie ona dopiero roznieca walkę między narodami, jest tylko jednym, szczególnie ostrym jej przejawem. Walka ta toczy się zawsze, zmienia się tylko jej postać zewnętrzna. Gdy wojna wybuchnie, tą walkę widzi nawet ślepy; ale obowiązkiem polityka jest zdawać sobie sprawę z jej istnienia również i w czasach pokoju, znać jej metody, czuwać nad odpowiedniem jej zorganizowaniem przez własny naród. Niektórzy dawniejsi filozofowie wyobrażali sobie, że rozwój społeczeństw ludzkich, oparty na umowie społecznej, poprzedził stan walki wszystkich przeciw wszystkim, w którym był *homo homini lupus*. Dzisiaj w każdym razie nie znamy tak bezwzględnej walki jednostek, znamy liczne węzły, spajające ludzi, różnorodną wspólność ich uczuć i interesów. Niemniej jednak narody toczą z sobą walkę, dziś jest *natio nationi lupus*.

Czasem walka toczy się otwarcie, czasem znów narody w stosunku do obcych, mniej bacznych, chowają swoje wilcze pazury i kładą na siebie owczą skórę — to wszystko nie narusza istotnego faktu.

Postępujący rozwój społeczny rozszerza tylko zakres tej walki narodowej, bogaci jej narzędzia. Walka ta obejmuje wszystkie dziedziny. Codzienny swój wyraz znajduje we współzawodnictwie gospodarczem, w zdobywaniu rynków handlowych, toczy się ona przez kolonizacyę, przez pokojowe osadnictwo na obcej ziemi. Używa się wszelkich środków, by osłabić wpływy polityczne przeciwnika, pozbawić go sojuszników i przyjaciół. Nie są zamknięte przed nią dziedziny ducha. Religia, nauka, sztuka, kultura, to wszystko służy za pośrednie narzędzie walki, niekiedy nawet bezpośrednie.

Dla każdego widoczne są te sposoby walki, którymi posługuje się państwo. Ale dzisiaj w walce narodowej biorą również udział i same narody, bez względu na to, czy mają własne państwo. Organizują się w związki społeczne, przestrzegają bezwzględności w stosunku do obcych z większą czasem starannością, niż to robi organizacya państwowa. Docierają one tam, gdzie państwo nie jest w stanie dotrzeć. Bardzo często te związki społeczne dają inicyatywę dla akcyi państwowej i wskazują jej przyszły kierunek.

Co najważniejsza, walka między narodami toczy się nietylko w świadomy, zorganizowany sposób. Ogromne znaczenie przypada czynnikom żywiołowym. Wyższa kultura samym urokiem swojej wyższości przyciąga mniej odporne żywioły, zdolna jest je wynarodowić, w każdym razie pozbawić samodzielności duchowej, bez względu na to, czy towarzyszy jej taki zamiar. Naród bardziej płodny może wyprzeć swoich sąsiadów przez sam fakt szybszego rozmnażania się. Przez małżeństwa mieszane rasa silniejsza narzuca słabszej swój charakter. Samo dążenie do własnego rozwoju gospodarczego jest już nieraz groźnem dla narodu, który nie może pod tym względem dotrzymać współzawodnictwa. Dotychczas nawet przeważnie te instynktowne, niezorganizowane czynniki rozstrzygały o bycie i rozwoju narodu. Wiele jednostek narodowych zostało wynarodowionych już w czasach, w których nie mieliśmy zaostrzonej świadomości narodowej ani też nikt nie organizował na tem tle żadnej akcyi.

Czyż to jednak nie jest obraz zbyt jednostronny, zbyt ponury? A więc nic innego, jak tylko walka, która czasem słabnie, ale bez przerwy się toczy? Czyż więc narody nie mają szlachetniejszych uczuć, czyż nie walczą w imię wspólnego wyższego ideału? Owszem, takie rzeczy istnieją, ale nie są one tak silne, by mogły być już teraz decydującym pierwiastkiem w współżyciu narodów. Niejeden naród odczuwa dla drugiego przyjaźń, o ile jednak jest to uczucie bezinteresownem, to słabem; jest to zwykle przyjaźń na odległość. Narody sąsiednie nie żywią dla siebie zazwyczaj tych uczuć braterskich. Budzą się czasem kierunki, któreby chciały doprowadzić do międzynarodowego współdziałania, do oparcia tych stosunków na gruncie słuszności, na gruncie idealnych zasad, ale te kierunki nie miały i nie mają istotnej siły. Ktoby chciał dzisiaj gonić za mgłą międzynarodowego idealizmu, ten rozbije się o skały twardej rzeczywistości. Pierwiastki ponadnarodowej wspólności, rządzenia się w stosunku do obcych względem na ich usprawiedliwione ideały, a nie własnym interesem, to wszystko jest materyał zbyt jeszcze grzązki, by z niego można było wznosić trwałe budowle.

Jeżeli więc widzimy międzynarodowe przymierza, sojusze, to wszystkie one są raczej podobne do spółki handlowej, opartej na zimnej rachubie, w której każdy z spólników stara się okpić drugiego, aniżeli do bezinteresownego, trwałego związku. Trwają one tak długo, jak długo trwa wspólność interesów, która je powołała do życia. Przytem zawsze są jeszcze tarcia między sojusznikami, zawsze najsilniejszy z nich dąży do ujęcia kierownictwa, do tego, by podporządkować sobie innych, którzy znów bronią się przed tem. A jeżeli współżycie międzynarodowe jest trudne w sojuszu bardzo luźnym, ograniczonym do nielicznych, czysto zewnętrznych celów, to cóż dopiero mówić o związku bardziej ścisłym, opartym o wspólny ustrój prawno-państwowy! Jeżeli w takim związku znajdzie się naród słabszy, zostanie podporządkowany drugiemu, to musi on zdać sobie sprawę z tych niebezpieczeństw, które mu grożą, musi pamiętać o tem, że utrzymanie samodzielności wymaga jego bacznej uwagi.

W interesie narodu, który konieczność polityczna związała jednym szerszym ustrojem z innym, silniejszym organizmem, leży przedewszystkiem to, by zachował on jak największy stopień prawno-państwowej samodzielności, by jego związki z tamtym orga-

nizmem były jak najluźniejsze i by nie miały tendencyi do rozprzestrzeniania się. Wyraża się to w dążeniu do tego, by posiadać własne funkcye państwowe w jaknajszerszym zakresie. Nie należy tu jednak mieszać istotnych funkcyi z ich akcesoryami i symbolami. Chodzi o prawdziwą samodzielność, a nie o zewnętrzne tylko jej manifestacye, choćby najbardziej ponętne. Nieraz istnieje forma państwowa, która ma tylko zewnętrzny wygląd udzielności, która umie zachować jej pozory, a tymczasem faktycznemi uprawnieniami zbliża się ona wprost do prowincyi większego państwa.

Drugim postulatem jest, by ta łączność prawno-państwowa pozostała tylko prawno-państwową łącznością, by nie wiązała się z nią, wcześniej czy później, zatrata samodzielności podporządkowanego organizmu. Słabszy czynnik musi dbać o to, by nie wchłonął go silniejszy. Przedewszystkiem musi dbać o to, by stanowił gospodarczą całość, zdolną do własnego życia. W przeciwnym razie konkurencya silniejszego narodu, nieskrępowana linią celną, ani niepowstrzymana rodzimą siłą odporną, dokona podboju gospodarczego słabszej jednostki, przeobrazi ją w swoją kolonię. Również jest w interesie tego słabszego narodu, by rozwój ludności jego sąsiada nie szedł przez jego ziemie, by na niej nie rozwijało się obce osadnictwo. Napływ choćby pokojowy ludności obcej jest szczególnie wtedy groźny, gdy ta ludność jest żywiołem, rządzącym we wspólnym ustroju państwowym. Rozsadza ona jednolitość i zwartość słabszego organizmu, czyni z jego ziemi terytoryum mieszane, którem łatwiej rządzić, bo je łatwiej rozbić.

Niewinną może się wydawać ściślejsza łączność kulturalna, w rzeczywistości i ona nie jest znów tak niewinną. Niekoniecznie musi pod jednostronnym wpływem przemożnego sąsiada nastąpić zanik odrębnej świadomości narodowej, lecz sama jednostronność rozwoju, ulegnie jednym tylko wpływom kulturalnym, wykoszlawia kulturę narodu, czyni z niej coś niesamodzielnego i mniej wartościowego. Naród musi ulegać do pewnych granic obcym wpływom, ale po to, by czerpać z każdej obcej kultury to, co jest w niej najlepszego, a nie być pod tym względem obsługiwanym przez monopol jednej firmy.

Słowem, chodzi tu o to: jeśli już jest prawno-państwowa wspólność z żywiołem obcym, to niechaj ta wspólność będzie jak najbardziej luźną, niech będzie tylko prawno-państwową wspólnością niektórych funkcyi. Naród słabszy i podporządkowany dru-

giemu musi dbać o swą samodzielność. Złożone ustroje państwowe prowadzą albo do większej samoistności składowych ich części, albo do ich zaniku. A zanik słabszego tem prędzej nastąpi, im więcej różnorodnych węzłów przykuwa go do silniejszego, im bardziej zacieśniają się te węzły. Trzeba tu brać pod uwagę nietylko pisane słowa konstytucyi, lecz i tendencyę rozwojową związanych z sobą czynników, ich wzajemny układ sił i to zarówno sił świadomie zorganizowanych, jak i działających żywiołowo.

Są to rzeczy znane, potwierdzone zarówno naszem własnem, jak i cudzem doświadczeniem. Wydawałoby się, że dzisiaj, gdy te prawdy wystąpiły z tak plastyczną siłą, gdy się już je wypowiada często bez osłonek, że w takiej chwili zbytecznem jest je przypominać i powtarzać. Niemniej jednak jest bardzo wielu, którzy, określając swój stosunek do obcych narodów w sposób bardzo radykalny i stanowczy, przecinając wszelkie związki z jednymi a zawierając przymierza z drugimi, nie pamiętają o elementarnych podstawach wszelkich takich stosunków. Zamiast przyjrzeć się istocie międzynarodowego współżycia, ułatwiają sobie oni zadanie, przenosząc swoje osobiste wrażenia uczucia i zasady w dziedzinę, która conajmniej wymaga odrębnego traktowania. Człowieka pierwotnego cechuje antropomorfizm, to znaczy wyobrażenie sobie zjawisk zewnętrznych na wzór swej własnej natury. Dzisiejszy człowiek nie buduje już bogów na obraz i podobieństwo swoje, ale niemniej wiele rzeczy, jak np. stosunek między jednym narodem a drugim wyobraża sobie tak, jak gdyby to był jego stosunek z innym człowiekiem. A tymczasem życie narodu ma swoje odrębne prawa, swoje odrębne konieczności, o których nie wolno zapominać. Wiele pierwiastków, które rozstrzygają we współżyciu jednostek, nie ma znaczenia we współżyciu narodów i to, co dla rozwoju tego lub innego człowieka jest pożyteczne, może być najszkodliwszem w zastosowaniu do całego narodu.

Tymczasem w dziedzinę międzynarodowej polityki, w dziedzinę najtrudniejszych zagadnień narodowego bytu przenosi się świadomie czy nieświadomie różne komunały i na ich podstawie reguluje ów stosunek do obcych. Kilka z nich zyskało sobie w ostatnich czasach szczególne rozpowszechnienie, warto też na nie zwrócić uwagę.

I tak operuje się bardzo często argumentem wspólności kulturalnej. Jednostka prywatna, szukając sobie przyjaciół, z natury

rzeczy zwraca się ku tym, którzy mają z nią wspólną kulturę, szuka nieraz dla siebie oparcia w kulturze wyższej. Naród również coprawda szuka najwyższych wzorów kulturalnych, ale to jeszcze nie powód, by z bardziej kulturalnym narodem wiązał się na śmierć i życie najsilniejszymi węzłami państwowymi, by wogóle kwestya wyższości lub niższości kulturalnej miała o tem rozstrzygać. Chodzi tu o stworzenie pomyślnych warunków dla rozwoju kultury własnej, a nie o otwarcie gościnnych progów jednej tylko kulturze obcej. W pewnych nawet warunkach zmięszanie się z wyższą kulturą może dla mało przezornego organizmu okazać się niebezpiecznem, może osłabić jego odporność. W każdym zaś razie my, którzyśmy czerpali zawsze kulturę u bezpośrednich jej źródeł, nie potrzebujemy dzisiaj szukać w tym względzie jedynego wychowawcy, ani też nie potrzebujemy się obawiać zalewu przez barbarzyństwo.

Że kwestya kultury niema decydującego znaczenia, tego najlepszy dowód mamy w obecnej wojnie. Widzimy w niej po jednej stronie przedstawicieli najstarszych kultur, narody romańskie i najwszechstronniejszej kultury nowoczesnej, anglosaksońskiej, połączonych z bliskim i dalekim Wschodem przeciw centralnej Europie, z którą znów związał się świat muzułmański. Mimo to dyskutuje się czasem o kulturze zachodniej i wschodniej, występują gorliwy obrońcy zagrożonej rzekomo kultury Zachodu, coprawda oni najczęściej pojmują ją trochę z jerozolimskiego punktu widzenia.

Podobnie szuka się nieraz w życiu prywatnem oparcia o jednostki, wysoko stojące pod względem moralnym i umysłowym. Te zalety właściwe są i całym narodom, należy je uznać i nikomu ich nie odmawiać, niemniej jednak naród nie może zawierać ścisłego związku z innym narodem dlatego tylko, że ten ostatni ma wysoką bezwzględną wartość. Trudno w polityce rządzić się tak daleko posuniętą bezinteresownością. Lepiej podziwiać te zalety u obcych narodów, ale z daleka i naśladować je, również z daleka. Wysokie zalety charakteru u przyjaciela mogą wyjść na dobre innej jednostce; natomiast podobna, zbyt daleko posunięta opieka nad słabym narodem może się smutnie skończyć dla ostatniego. Pamiętajmy zawsze o tem, że ściślejsze współżycie narodów w ramach większego organizmu zwykle nie realizuje zasady: wolni z wolnymi, równi z równymi, że przeważnie doprowadza do podporządkowania słabszego. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej

z wysokim entuzyazmem patrzano na Japonię, podziwiano jej siłę moralną, jej wytrwałą pracę. Ale czy chcielibyśmy mieć Japończyków za sąsiadów właśnie ze względu na ich narodowe zalety? Czy byłoby nam przyjemnie, gdyby naszemu robotnikowi i kupcowi zagroził Japończyk przy swych niskich potrzebach a olbrzymiej wytrwałości? Czy chcielibyśmy, by nas oplotła Japonia swą niezrównaną organizacyą?

Wojna wprowadziła w zetknięcie najbardziej sobie nieznane żywioły, dostarczyła różnych wrażeń wielu jednostkom, które dotąd w swym zapadłym kącie świata bożego nie widziały. Teraz ci ludzie patrzą i porównują. Widzą zalety jednych, braki drugich. Rozszerza się ich własny horyzont, na tej podstawie urabia się nieraz sąd o obcych narodach, chęć i gotowość oparcia się o nie. Zjawia się tu argument, któryby można nazwać edukacyjnym; mówi się: wolimy tych a tych, bo przynajmniej wielu rzeczy można się od nich nauczyć. Coprawda, jeżeli ktoś chce się czegoś uczyć od obcych, to lepiej udać się do ich kraju i poznać ich na miejscu. Trudno, by za braki wykształcenia jednostek płacił naród swoim własnym losem. Ci ludzie, którzy dopiero się uczą i tak gorliwie uczą, a mimoto już chcą kierować losami narodu, nie pamiętają o tem, że za taką naukę trzeba czasem bardzo wiele zapłacić. Zapominają o tem, że taki nauczyciel bardzo często nie chce zrezygnować ze swej roli, lecz przeciwnie, z biegiem lat chce uczyć coraz wszechstronniej i staranniej i zaczyna się coraz bardziej czuć u siebie w domu, że tych nauczycieli przypływa coraz więcej. Widzimy np. na przykładzie Grecyi, że ta ma wielki kłopot ze swoimi opiekunami i dotychczasowymi wychowawcami. Radaby się ich pozbyć, ale oni siedzą. Naród, który naprawdę dorósł do świadomego życia, da sobie radę bez opiekunów, z łatwością się nauczy tego, czego mu potrzeba, nie potrzebuje nieodstępnych guwernerów.

Dziedzina stosunków osobistych jest w znacznej bardzo mierze oparta na uczuciu i powinna być na niem oparta. Małżeństwo, przyjaźń, stosunki towarzyskie nie powinny opierać się na wyrachowaniu. Ale pożycie narodów z sobą wymaga innych zasad, gorzkich zawodów doznaje ten, kto tutaj chce na uczuciach budować. Ostatecznie każdy naród ma grupę idealistów, zapatrzonych w doktrynę, a obcych rzeczywistości. Ale oni nie mogą nadawać kierunku jego polityce, wskazywać jej nowych dróg, pod

grozą bolesnych rozczarowań. Pamiętajmy o tem, że w stosunkach między narodami jedno tylko uczucie jest naprawdę silne; jest to uczucie nienawiści. A i to uczucie umie czasem powściągnąć naród, świadomy swych celów i znający drogi, które do nich wiodą. Widzimy więc często sojusze z niedawnymi nieprzyjaciółmi, widzimy, że nie zawsze wobec nawet odwiecznego wroga zajmuje się otwarcie wrogie stanowisko. W każdym razie niepodobna budować w międzynarodowych stosunkach na innych, pozytywnych uczuciach. Np. uczucie wdzięczności jest u każdego niemal narodu krótkotrwałem, narody umieją zapominać o oddanych im usługach, o ile tego wymaga konkretny cel polityczny.

To też interes narodowy nakazuje, by nie budować na własnych swoich przeżyciach, na osobistych sympatyach i antypatyach, by nie opierać bezpośrednio na nich stosunku całego narodu do obcych. Nad poczuciem doznanych krzywd musi górować wzgląd, by tych krzywd jak najmniej doznawać w przyszłości, by jak najpomyślniej ułożyć warunki narodowego życia. Usprawiedliwione osobiste rozdrażnienie nie może być kryteryum zasadniczej polityki narodowej. Szkodliwą też jest działalność ludzi, których zaślepia jednostronna nienawiść, którzy osobiste swoje porachunki załatwiają na narodowej skórze. Psychologicznie takie stanowisko, podyktowane nienawiścią obcych, może być zrozumiałe; politycznie jest ono błędnem. Należy pamiętać o zdaniu, które przyświecało działalność jednego wielkiego męża stanu: trzeba zdobyć się na to, by kochać bardziej swój naród, aniżeli nienawidzieć jego wrogów. Trzeba wogóle zachować na wewnątrz swoje uczucia, na obce zaś żywioły patrzeć z chłodną równowagą.

Najbardziej typowem pojęciem, które przenosi się wprost ze sfery życia osobistego do dziedziny życia narodowego, jest pojęcie honoru narodowego. W stosunkach osobistych ma pojęcie honoru treść ustaloną. Nad tem, by przeciw honorowi nie wykraczano, czuwa kodeks karny i honorowy, czuwa poczucie moralności publicznej. Na jakiej jednak podstawie potrafimy ułożyć kodeks honoru narodowego? Niewątpliwie i naród może dopuszczać się czynów, które rzucają cień na jego honor, ale niepodobna zupełnie dowolnie rozciągać tego terminu. Niepodobna w myśl nieokreślonego poczucia honoru narodowego potępiać najbardziej celowych aktów politycznych, których musi się podjąć każde normalne społeczeństwo. Czego u nas już nie potępiali Katoni ho-

noru narodowego! Nie wolno było nawoływać do obrony przed żywiołami obcymi, które rozpanoszyły się na naszej ziemi, bo naród nasz nie może splamić się jakimkolwiek uciskiem. Nie wolno było bronić naszych spraw w narzuconych nam ciałach ustawodawczych, bo to przeciwne godności narodowej. Nie wolno było nawet informować zagranicy o sprawach polskich, zyskiwać jej dla nas, bo taka żebranina ubliża godności narodowej.

Zapominali jednak ci wszyscy o tem, że naród ma jedno naczelne przykazanie swojego honoru: ma obowiązek żyć i rozwijać się, przekazać nienaruszone pod względem moralnym i materyalnym dziedzictwo przyszłym pokoleniom. Ostatecznie jednostce można przyznać prawo rozporządzania jej własnem życiem, ale nigdy jednostki nie mają prawa rozporządzania życiem narodu. Trudno znaleść bardziej zbrodniczy kult, aniżeli kult narodowego samobójstwa w imię rzekomego honoru narodowego. Nigdy człowiek, mający poczucie odpowiedzialności własnych słów i czynów, nie może godzić się z możliwością zagłady własnego narodu. Ale są ludzie, według których tylko pewna jego przyszłość odpowiada godności narodowej; innej zaś bodajby nie było, lepiej, według nich, by naród przestał istnieć, niż miał żyć „w upodleniu".

Naród, który idzie ku wolności, musi, zanim zrzuci zewnętrznych wrogów, pozbyć się wewnętrznego wroga: panowania frazesu, rządzenia się odruchami, musi nietylko czuć i pragnąć gorąco, lecz również nauczyć się myśleć jako naród, a nie być zbiorowiskiem histerycznych, podrażnionych jednostek. Twarda szkoła wojny nauczyła już wielu, ale są jeszcze tępe głowy, którym obcą jest wymowa rzeczywistości. Na szczęście ogół narodu nauczył się rozumieć swoje położenie, warunki swojego bytu i rozwoju, a nie da się podniecić pustemi deklamacyami, którym potylekroć zaprzeczyło życie.

Roman Rybarski.

Sprawa o matkę A. Mickiewicza.

Sprawa o rodowód matki poety ma pozornie tylko charakter heraldyczny. Jak żadna z rzeczy ludzkich nie jest odosobniona, lecz związana mnóstwem mniej lub więcej jawnych korzeni z olbrzymim splotem dziejących się spraw, wpleciona w całokształt bytu, — tak i ta kwestya poza urokiem zagadnienia historycznego ma posmak poniekąd i społeczny, oraz pewną wagę w egzegezie jednego z najtrudniejszych ustępów w „Dziadów" części III.

I tak naprzykład w trakcie ożywionej dyskusyi „żydowskiej", jaka przed wojną zajmowała umysły polskie w Galicyi, można było razu pewnego czytać (o ile mnie pamięć nie myli, w krakowskiej „Krytyce" Feldmana), jak jakiś syonista, wyłuszczając szeregi pretensyi do narodu polskiego i za geniusz Mickiewicza wystawił nam rachunek płatny wdzięcznością dla plemienia hebrajskiego, bo w żyłach poety polskiego — twierdził — płynęła i „ich" krew, wniesiona tam przez matkę-żydówkę. Rewelacyi tej i pretensyi wysłuchano — zdaje się — w osłupieniu i nie zareagowano na nie; nikt nie zainterpelował owego szermierza przynajmniej o źródło sensacyi, ni o tego źródła wierzytelność. Bo też istotnie cała ta sprawa już to nie jest wyjaśniona należycie, już to uległa zapomnieniu.

Mówimy o zapomnieniu, bo faktycznie bywała już poruszana w literaturze krytycznej i to na kilka zawodów. Ponieważ zaś czasy ostatnie przyniosły parę nowych lub rzekomo nowych szczegółów, więc sądziłem, że będzie może nie od rzeczy zreferować przebieg sporów i wskazać dzisiejszy stan wiedzy w tej materyi. Podejmując się tego zadania, zastrzedz się pragnę z góry, że nowych rewelacyi, ni niesłyszanych oświetleń nie przynoszę, chcę jedynie przypomnieć przebieg dotychczasowych badań i zestawić dokumenty.

Pierwszy raz głośne stało się nasze zagadnienie koło r. 1860. Mianowicie paryski korespondent „Czasu“, kryjący się pod kryptogramem L***, blizki przyjaciel Mickiewicza, współtowiańczyk, Eustachy Januszkiewicz, ogłosił w nr. 117, 118, 120 z r. 1859 swe „Notatki wspomnień z życia A. Mickiewicza“, oparte na opowiadaniach, jakie autor słyszał i zanotował jadąc samowtór z Mickiewiczem dyliżansem z Paryża do Zurychu od 4. do 8. lutego 1846 r. Gawędami o najdroższych latach i ludziach młodości urozmaicano sobie przewlekły czas podróży, a zaś Januszkiewicz był z tych emigrantów, przed którymi Mickiewicz mógł się w zwierzeniu roztworzyć.

Wtenczas to miał poeta powiedzieć: „ojciec mój, Mikołaj, ożeniony był z Barbarą Majewską, z domu Orzeszkówną, której starsza siostra, pani wielce toniasta, była naprzód za panem Pioro, a w powtórnem małżeństwie za Bielskim“.

Ze względu na autora i okoliczności wydaćby się mogła dość wiarygodną ta zapiska, zwłaszcza gdy ponadto zważymy, że zanotował ją Januszkiewicz rychło po rozmowie, jak to wyraźnie widać z ogłoszonego niedawno brulionu tych wspomnień, wydanego z autografu [1]) przez J. Kallenbacha w warszawskiej jednodniówce Towarzystwa dziennikarzy i literatów „Na szkołę polską“ (maj 1916, str. 2—4). Niewątpliwą jednak błędność tej relacyi wykazał już W. Korotyński (Kilka szczegółów o rodzinie... Mickiewicza“, Wilno 1861), za nim następnie X. J. Siemieński („Kwestye sporne w życiorysie Ad. Mickiewicza“, Lwów 1889, odbitka z „Ogniska domowego“).

Dla nas dziś jest ta kwestya i bez wywodów polemistów przesądzona; rozcinają ją dokumenty. Mianowicie w ogłoszonych na str. 40—41. czwartego tomu „Korespondencyi Mickiewicza“ (Paryż 1885) wypisach z metryk synów Mikołaja i Barbary Mickiewiczów figuruje matka czterokrotnie (23. sierpnia 1796; 11. sierpnia 1801; 7. marca 1804; 7. maja 1805) „*de Domo* Majewska“.

O jakichś stosunkach zażyłości Mickiewiczów z Orzeszkami musiał poeta niewątpliwie wspominać (może matka Barbary była z Orzeszków?), bo według tychże metryk Orzeszkowe były ma-

[1]) Autograf ten wyzyskał już był do biografii Mickiewicza syn poety w I. tomie swego „Żywotu“. Porównanie go z tekstem drukowanym w „Czasie“ wskazuje, że niektóre szczegóły korespondent pominął w druku, np. o stosunku Wereszczakowej, matki Maryli, z Wołodkowiczem i inne.

tkami chrzestnemi Franciszka i Jerzego Mickiewiczów, braci Adama. W ten zapewne sposób wyrosła pseudorewelacya Januszkiewicza.

Była więc Barbara nie *primo voto,* ale *de domo* Majewska; to fakt. Ale o jej bliższej rodzinie znów mało wiemy. O ojcu, że był uczciwym ekonomem Uzłowskich w Cząbrowie, podał z rodzinnych opowiadań Chryz. Ładzic, mąż wnuczki owej Anieli Uzłowskiej, chrzestnej matki poety (Pam. Tow. lit. im. Ad. Mickiewicza, t. III., str. 263—266). O Majewskim, rodzonym bracie Barbary, wspomniano trzykrotnie w wydanej niedawno „Korespondencyi Filomatów“ w listach Aleksandra i Adama Mickiewiczów (II. 146, 192; IV. 215). Dowiadujemy się stamtąd, że mieszkał on w Widzach, miasteczku powiatu dziś nowoaleksandrowskiego, gdzie był niewątpliwie jakimś posesorem i że obaj siostrzeńcy go tam w czasie wakacyi odwiedzali. Nawiasem mówiąc, posiadamy w tem dowód, że fałszywą informacyę Januszkiewicza przypisać mamy nie błędnemu mniemaniu poety, ale akustycznemu złudzeniu autora. Zaś ów wuj Majewski był niewątpliwie tym samym, o którym — podając już i imię Onufry — pisał w r. 1861 Aleksander Mickiewicz do Brochockiego: „matki Adama rodzony brat, Onufry Majewski, zostawił liczne potomstwo, które znałem w dzieciństwie“ (ob. Edw. Chłopickiego: „Notatki z różnoczasowych podróży po kraju“, Warszawa 1863, str. 61).

Oto i wszystkie dotyczasowe wiadomości o rodzinie Barbary Majewskiej, pewne, poświadczone dokumentami.

Aliści oto przyplątuje się do niej druga legenda, która znowu koło r. 1880 uczyniła aktualną sprawę genealogii Majewskich. Spór teraz powstał żywszy, bo już nie o nazwisko chodziło, ale bezmała o narodowość. Wówczas to mianowicie pojawiła się owa rewelacya o żydowskiem pochodzeniu matki poety. Głos zabierali znów W. Korotyński („Gazeta Warszawska“, nr. 254 z r. 1879: „Rodowód A. Mickiewicza“), później X. J. Siemieński w broszurze wspomnianej, wreszcie sam Ign. Domejko. Ale ostatecznie żaden z nich kontrdowodu nie przyniósł; Domejko zadowolił się gołosłownem twierdzeniem, że rewelacyi „pod żadnym względem nie należy przyjąć za prawdę“ (Koresp. A. Mickiewicza IV. 8), dwaj pierwsi ostatecznie nawet przyjmują w bliższem lub dalszem pokoleniu (Korotyński po mieczu, X. Siemieński po kądzieli) neofityzm w rodzie Majewskich. Nie zbili, owszem bezmała poparli relacyę inkryminowaną.

A teraz — któż to i gdzie ją przyniósł?

Ogłosił ją Fr. Xawery Branicki. Dziwny ten magnat, pod koniec życia Mickiewicza istotnie do niego zbliżony (łożył naprzykład na wydawnictwo „Trybuny ludów"), uległ na stare lata ambicyom literackim. Folgując swoim filosemickim przekorom, przetłumaczył traktat rabina Sołoweyczyka o Talmudzie i Biblii, tudzież hebrajską elegię historyczną z czasów Chmielnickiego: „Brama pokuty", napisaną „przez znakomitego rabina Gabryela, syna Jozuego, Herschel Schlossburg" (Paryż, druk. A. Reiffa, 1879).

W długiej, dość cudacznej przedmowie do tego właśnie przekładu dedykuje dzieło „synowcowi" swemu, Stan. Tarnowskiemu. Otóż w trakcie tej niezbyt skoordynowanej gawędy *„de omnibus et quibusdam aliis"* pomieścił Branicki wśród innych kaducznych rewelacyi — i ową o matce Mickiewicza. W jednej z rozmów o żydach miał mu mianowicie poeta powiedzieć: „Mój ojciec z Mazurów, matka moja Majewska z wychrztów, jestem więc nawpół Lechitą, nawpół Izraelitą i tem się szczycę". Tak brzmi jedno jedyne świadectwo o żydowskiem pochodzeniu Barbary Majewskiej.

Opowiadam o niem tak szczegółowo, bo choć treść rewelacyi zasłyszał ten i ów, o źródle zapomniano całkowicie; do tego stopnia, że świeży — zresztą i jedyny również — monografista kwestyi rodowodu Majewskich — prof. Teodor Wierzbowski, nie umiał już wskazać, gdzie to znajduje się owo zdanie Branickiego.

Ale otóż właśnie prof. Wierzbowski [1]) wziął kwestyę o rodowód Barbary za temat osobnej rozprawki i do zagadnienia przyniósł nowy szczegół, nową zarazem hipotezę.

Zasadniczo uznał Wierzbowski wiarygodność świadectwa Branickiego, przyjął bez wahania, że Mickiewicz miał przez matkę jakieś *quantum* krwi żydowskiej. Tylko jakie, w którem pokoleniu byli Majewscy neofitami? Odpowiedzi szukał autor w archiwach. Jakoż znalazł; mianowicie jest w Archiwum Głównem w Warszawie dyplom nobilitacyjny Józefa Jerzego Majewskiego z r. 1783. Ze stylizacyi dokumentu wnosić można dość pewnie, że świeżo uszlachcony Majewski był neofitą i że wychrzcił się przed r. 1764. Powołuje się mianowicie dyplom, jako na zasadę nobilitacyjną, na

---

[1]) Teodor Wierzbowski: Z badań nad Mickiewiczem i utworami jego. — Warszawa 1916, str. IV 156. „O rodzinie Majewskich (matki poety)", str. 11—23.

konstytucyę z r. 1768, a ta właśnie rozciągała przywilej nobilitacyi na wszystkich neofitów W. Ks. Litewskiego, którzy przyjęli chrzest przed r. 1764. Jednym z takich być musiał Józef Jerzy.

Zaś powód wychrzczenia tego Majewskiego, byłego dzierżawcy cła w Połocku, podaje Wierzbowski zgoła uchwytny. Mianowicie właśnie w r. 1764 (w maju) uchwalono na sejmie konwokacyjnym ostre prawa przeciw żydom, w szczególności odsunięto ich pod grozą infamii od wszelkich funkcyi na cłach, mytach, komorach etc. dóbr królewskich. To też nasz Majewski, któremu milsze widać były dochody z cła połockiego niż wiara ojców, zasłonił się przed srogością prawa przejściem na chrześcijaństwo. Po r. 1773, kiedy Połock zajęła Rosya, przeszedł w granice Rzeczypospolitej i chcąc uzyskać stanowisko społeczne, postarał się o nobilitacyę.

Takie jest rozumowanie Wierzbowskiego. Możnaby je przyjąć i przymknąć oczy na trudność, że według niego wychrzcił się chyba Majewski w ciągu r. 1764, a nie przed nim, jak tego wymagała konstytucya z r. 1768. Możnaby nawet dla rehabilitacyi pobudek duchowych konwertyty wspomnieć (oczywiście tylko w formie hipotezy bez dowodów), że właśnie od roku mniej więcej 1760 zaczęli się masowo chrzcić, liczni także na Litwie [1]), frankiści polscy, za których podobno przyczynieniem zjawił się ów neofitom przychylny prąd w ustawodawstwie litewskiem, że więc być może i Majewskiego co z nimi łączyło [2]).

Ale teraz, jakiż da się ustalić związek między tym Majewskim a Barbarą, matką poety?

Otóż właśnie, że dokumentami poprzeć się nie da żaden — i to jest ten gliniany fundament wywodów Wierzbowskiego, to sprawia, że budowa jego jest zamkiem na lodzie, tylko przypuszczeniem. Prof. Wierzbowski konkluduje: „wydaje się blizkiem prawdy, że Barbara była z potomstwa owego neofity, że była mianowicie jego wnuczką“ (str. 21 i 111). Gdyby się przypuszczenie miało sprawdzić, wtedy i ojciec Barbary (urodzony przecież nie-

---

[1]) Może w jakim związku z nimi stoi zwrot „Pana Tadeusza“: Waść masz krzyż w herbie, to alluzya skryta, że w rodzie bywał neofita.

[2]) Oczywiście, to tylko ślepe przypuszczenie; litewskiej linii Majewskich nie znajdujemy w wykazach frankistów-neofitów. Jest Antoni Majoski pod r. 1764, nadto Michael Majewski — lwowianin. Ob. Al. Kraushar: „Frank i Frankiści polscy“. Kraków 1895, tom I., str. 257 i nn., str. 327.

wątpliwie grubo przed 1764 r.!) byłby jeszcze żydem, wychrzczonym w młodości wraz z ojcem i rodzeństwem, a Barbara byłaby nie „wnuczką“ neofity, ale chrześcijanką z pierwszego pokolenia.

Osłabia je na razie fakt, że obecnie nie można wykazać nawet wspólności herbowej (choć i to jeszcze kruchym by było argumentem) Józefa Jerzego, neofity, z Barbarą. Powtóre wątpliwość, czyby syn nobilitowanego, więc chyba zamożnego ojca istotnie zesunął się w hierarchii społecznej aż na szczebel... ekonoma, a wreszcie przeciw owym mocno niepewnym racyom „*pro*“ wysuwa się jedno uparte „*contra*“, że mianowicie o charakterze, w psychice poety nie uwidoczniła się ani na krztę przymieszka semickiego elementu. By to przeświadczenie zwalić, trzeba dowodnych, wątpliwości nie dopuszczających dokumentów. Dopóki ich niema, wolno — sparzywszy się już raz na „autentycznem“ wyznaniu „samego“ poety — sceptycznie patrzeć na rewelacyę Branickiego i na próby poparcia jej samowolnemi kombinacyami.

Jakkolwiekbądź, obracamy się w lesie przypuszczeń. Pewne jest w całej tej sprawie to, że „legenda żydowska“ koło Mickiewicza nie jest ostatecznie zwalona, ale i uzasadniona dokumentami też nie jest, że do jej rozwiązania trzeba szukać nowych materyałów. Sądzę, że przedewszystkiem w księgach parafialnych w Cząbrowie, a potem dopiero w tym zagajniku aktów, na które wskazuje Wierzbowski.

Jak dotąd, sprawa stoi otworem, a dopóki niema rozstrzygnięcia, nie można — jak to czyni Wierzbowski na innem miejscu — podstawiać niewiadomej za drugą niewiadomą i twierdzić, że zwrot w „Widzeniu ks. Piotra“: „z matki obcej“ — odnosi się do Barbary z Majewskich, córki neofity.

Stanisław Pigoń.

Społeczeństwo a wychowanie.

Przygotowanie do życia młodych pokoleń jest tak istotną funkcyą każdego społeczeństwa ludzkiego, że nigdy nie może się ono zupełnie zatrzymać w jej wypełnianiu. Może jednak ją wypełniać lepiej lub gorzej, zależnie od tego, do jakiego stopnia uświadomiło sobie obowiązki wychowawcze.

Jakeśmy to stwierdzili [1]), przygotowanie to składa się z wychowania charakteru i kształcenia umysłu, przyczem pierwsze przypada przedewszystkiem rodzinie w udziale, zaś drugie — szkole. Nie znaczy to jednak, aby i inne czynniki życia społecznego nie miały się wychowaniem i wykształceniem interesować; zarówno Kościół jak i państwo mają tu wielkie zadanie do wypełnienia i rola ich w tej dziedzinie będzie musiała kiedyś osobno zatrzymać naszą uwagę. Ale i samo społeczeństwo, które w miarę postępu swej kultury coraz bardziej pragnie wywierać świadomy wpływ na bieg swego życia, nie może pozostawać obojętne wobec młodych pokoleń, które kiedyś przejmą na swe barki zadania i dążności całego narodu.

Ruch oświatowy przejawiający się w Polsce w ostatnich 30 latach i młodszy odeń, bo dziś zaledwie budzący się ruch wychowawczy, są właśnie dowodem zainteresowania się ze strony naszego społeczeństwa temi tak doniosłemi zagadnieniami narodowemi, zainteresowania tem konieczniejszego w naszych warunkach, że przy braku własnej państwowości samo społeczeństwo musi wypełniać różne funkcye, które gdzieindziej spełnia państwo. Z tego jednak względu jest tembardziej ważnem, żeby społeczeństwo to

---

[1]) Patrz artykuł: „Oświata a wychowanie“, *Rok Polski* 1916, Nr. 7, wrzesień.

miało w sprawach oświatowych i wychowawczych jasne pojęcia i ustalone zasady, żeby nadto akcyę, którą w tych dwóch kierunkach musi rozwinąć, umiało zorganizować należycie, szczególniej, żeby do każdej z niej umiało powołać właściwe siły, fachowo przygotowane.

I.

Najpierw więc zwróćmy uwagę na to, że stosunek społeczeństwa do oświaty musi być inny niż do wychowania; zainteresowanie temi dwoma sprawami musi przybrać inny kierunek.

Szkoła polska nadal powinna pozostać przedmiotem najtroskliwszej pieczy ze strony naszego społeczeństwa. Wywalczona z takim trudem w Królestwie, pielęgnowana z taką troską w Galicyi i na Śląsku musi ona i w tych czasach przejściowych skupić na sobie uwagę i umiłowanie społeczeństwa, aby się stać zadatkiem lepszej przyszłości. A jednak nie znaczy to, aby całe społeczeństwo miało brać czynny udział w nauczaniu. W gorączkowej atmosferze t. zw. lat wolnościowych w Królestwie nie zdawano sobie z tego sprawy i zapał nauczania powstały pod wpływem Macierzy szkolnej przejawiał się nieraz w formie wprost humorystycznej; każdy chciał innych uczyć bez względu na to, czy sam coś porządnie umiał i czy umiał uczyć; niejednemu się zdawało‘ że sama przynależność do wyższych klas społecznych już go uprawniała, a nawet obowiązywała do nauczania mniej wykształconych od siebie. Zapewne, że w takich chwilach przełomowych przy braku dostatecznej ilości fachowych sił nauczycielskich nieraz trzeba było zaprzęgać do roboty ludzi, u których dobra wola zastępowała fachowe wykształcenie, ale trzeba, abyśmy sobie zdawali sprawę z tego, że są to położenia wyjątkowe, które długo trwać nie powinny i że w interesie samej sprawy nauczania leży, aby trwały jak najkrócej.

Najpierw nauczanie wymaga specyalizacyi, jeśli nie w poszczególnych przedmiotach, jak na stopniu elementarnym, to przynajmniej w umiejętności nauczania, a tego całe społeczeństwo mieć nie może. Następnie wymaga ono nie tylko specyalizacyi, ale i powołania, któreby sprawiało, że dany osobnik z prawdziwem zamiłowaniem poświęca całe swe życie nauczaniu. Otóż dyletanckie traktowanie nauczania przez jednostki nieprzygotowane do tej pracy dyskredytuje całą działalność nauczycielską i nieraz zraża

do niej jednostki, któreby się jej z zamiłowania chciały poświęcić, nie mówiąc już o tem, że i ekonomicznie wytwarza dla fachowców niezdrową konkurencyę.

Stąd wypływa to charakterystyczne u nas zjawisko, że przy całem zainteresowaniu się akcyą oświatową, którego społeczeństwo nasze tyle daje dowodów, prawdziwych powołań do zawodu nauczycielskiego mamy bardzo mało i społeczeństwo nie ceni dostatecznie tego tak ważnego dlań powołania. Poza kategoryą nauczycieli dyletantów t. zw. korepetytorów, poświęcających się prywatnemu nauczaniu dla zarobku, poza kategoryą nauczycieli urzędników, za mało stosunkowo mamy nauczycieli pedagogów, oddających się z całem zamiłowaniem temu ślicznemu zadaniu kształcenia młodych dusz. I w społeczeństwie mało jest zrozumienia dla piękna i podniosłości tego powołania; wielu mniema, że *quem dii oderunt pedagogum fecerunt* i niejeden nauczyciel bez powołania używa polskiego przekleństwa: bodajeś cudze dzieci uczył. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, ile zadowolenia i osobistego szczęścia dać może ta praca, w której człowiek jest współczynnikiem i świadkiem zarazem tego najciekawszego może procesu na świecie, jakim jest stopniowy rozwój umysłu ludzkiego.

Ażeby ten stan rzeczy zmienić, trzeba, aby ruch oświatowy u nas zajął się dużo poważniej przygotowywaniem fachowych sił, a coraz bardziej wykluczał od czynnego współudziału w pracy oświatowej dyletantów. Społeczeństwo całe winno nadal bardzo się sprawą oświaty interesować i wspierać ją materyalnie i moralnie; nie żądać jednak w niej dla siebie zbyt wielkiego udziału, natomiast powoływać do niej jak najliczniejsze zastępy dobrze przygotowanych sił fachowych. Aby do tego doprowadzić, winno ono powołanie nauczycielskie wyżej cenić niż dotąd, traktować je jako prawdziwe powołanie, drugie zaraz po kapłańskiem a przed żołnierskiem i urzędniczem i stawiając mu wysokie wymagania, zapewnić mu w swem łonie i moralnie i materyalnie odpowiednie stanowisko.

Inaczej zupełnie powinien się ukształtować stosunek społeczeństwa do ruchu wychowawczego. Niedopuszczająca specyalizacyi a wymagająca natomiast harmonijnego i jednolitego rozwoju wszystkich władz moralnych, działalność wychowawcza jest bez porównania dostępniejszą szerszym kołom społeczeństwa niż działalność oświatowa. Naturalnie, że i tu pewne zadania, jak studya

teoretyczne nad podstawami wychowania, jak wychowanie moralnie zaniedbanych lub nerwowych dzieci, wymagają specyalizacyi, i nie będą dla każdego dostępne; ale poza niemi jest to ogromne pole wychowania, które w zwykłych warunkach życia dla nikogo nie jest zamknięte i które powinno wzbudzić zainteresowanie w jak najszerszych kołach.

W pierwszym rzędzie ci wszyscy, którzy zakładają rodzinę, a tych jest ogromna większość, winni mieć o wychowaniu pewne choćby najelementarniejsze pojęcia. Rodzina wśród czynników wychowawczych zajmuje pierwsze miejsce i choć nieświadomy nieraz instynkt rodzicielski duże tu może oddać usługi, to jednak wiemy, że nieomylnym nie jest, że nieraz działając na ślepo, więcej szkodzi niż pomaga. Powzięcie więc pewnych wiadomości o wychowaniu jest dla rodziców rzeczą pierwszorzędnego znaczenia. I nie powinni oni tego odkładać do chwili, kiedy dzieci zaczną podrastać, bo pracę wychowawczą musi poprzedzić praca samowychowawcza, bez której pierwsza żadnych nie da rezultatów. Stan małżeński sprowadza tak duże zmiany w życiu ludzkim, szczególniej w życiu kobiety, że i najlepiej wychowane charaktery potrzebują pewnej dopełniającej pracy samowychowawczej, aby się dostosować do nowych warunków życia. Dopiero dopełnienie wychowania w pierwszych zaraz czasach pożycia małżeńskiego jest w stanie wytworzyć to zdrowe środowisko moralne, w którem młode pokolenie, w miarę jak na świat przychodzi, czerpać będzie siły na całe życie; bez niego rodzina dawać będzie życie fizyczne, ale nie zaszczepi zdrowego charakteru moralnego. Jak mało jednak wychowawcze zadania rodziny są u nas ogólnie uświadomione i jak wiele jest pod tym względem do zrobienia!

Następnie zagadnienia wychowawcze winny też w dużo większym stopniu, niż to się dotąd dzieje, interesować sfery nauczycielskie, tych wszystkich, których życie ze szkołą jest związane. Szkoła ma w pierwszej linii zadanie kształcenia, ale i zadania wychowawcze nie powinny jej być obce, może ona bowiem stać się aczkolwiek drugorzędnym, niemniej jednak bardzo potężnym czynnikiem wychowania. Nauka o charakterze powinna tedy być gruntownie znana w sferach nauczycielskich i wciąż uwzględniana w działalności szkolnej; szczególnie te jej części, które się odnoszą czy to do wychowawczej doniosłości samego uczenia się

jako takiego, czy też do doniosłości z punktu widzenia wychowawczego poszczególnych gałęzi wiedzy.

Nie tylko jednak do tych dwóch grup rodziców i nauczycieli winno się ograniczać zainteresowanie sprawa wychowania. Wychowanie nie kończy się z wiekiem dziecięcym lub młodzieńczym, lecz trwa całe życie. W powolniejszym tempie, z mniejszym naciskiem, mniej świadomie niż to było w młodych latach, wciąż jednak wychowujemy jedni drugich naszem postępowaniem, wzajemnem oddziaływaniem na siebie. Cała sztuka obcowania z ludźmi, używania ich do swych celów, gdy się ma podwładnych pod sobą, nie jest niczem innem, jak sztuką dalszego wychowania ludzi, którzy nieraz i w późniejszem życiu bywają zmuszeni na nowo przystosowywać się do zmienionych warunków, do nowych okoliczności. Otóż pod tym względem rozpowszechnianie w społeczeństwie gruntownych wiadomości o wychowywaniu, o charakterze, o jego rozwoju, funkcyonowaniu i możliwych skrzywieniach mogłoby mieć ogromną doniosłość. Ile tarć możnaby machinie społecznej oszczędzić przez większe uwzględnianie indywidualnych właściwości temperamentów i charakterów, przy rozdzielaniu np. różnych prac społecznych, w traktowaniu podwładnych przez przełożonych i t. d.

Wreszcie jeszcze ogólniej rzecz biorąc i abstrahując od tych poszczególnych racyi, które za wzbudzeniem większego zainteresowania dla zagadnień wychowawczych przemawiają, należałoby szerzyć w całem społeczeństwie przekonanie o odpowiedzialności wychowawczej każdej jednostki ludzkiej, niezależnie od jej specyalnych obowiązków i stanowiska. Całe zachowanie się każdego człowieka, czy to w bliższem kółku znajomych, czy też w miejscach publicznych winno być nacechowane pewnem przejęciem się tą odpowiedzialnością za te wpływy, które my naszem postępowaniem wywieramy na innych, szczególniej na młodzież. To poczucie istnieje już niewątpliwie, ale dużoby zyskało, gdyby je oprzeć na dokładniejszych wiadomościach o podstawowych prawach wychowania; mogłaby się wtedy wytworzyć silna opinia publiczna w tych sprawach, coby dało społeczeństwu wielką spoistość wewnętrzną. Dopiero społeczeństwo spojone jednolitą opinią w sprawach wychowawczych stałoby się nadzwyczaj cennym współpracownikiem Kościoła, rodziny i szkoły w jej pracy wychowawczej; nieraz najstaranniejsze zabiegi tych trzech instytucyi wychowawczych roz-

bijają się właśnie o brak poparcia ze strony opinii publicznej; to, co one z wielkim trudem zbudują, wnet ulica, gazeta, teatr a teraz i kino podkopią i zniweczą.

Zresztą nie chodziłoby tu tylko o zapobieganie szerzeniu się zła, jest tu i duża pozytywna praca wychowawcza do wypełnienia, która tylko na drodze powolnego urobienia opinii publicznej może być dokonana; że wspomnę tylko np. stosunek między publicznością a funkcyonaryuszami w urzędach publicznych; kto miał sposobność porównać pod tym względem nasze stosunki ze stosunkami na zachodzie w Niemczech lub w Anglii, ten dopiero wie, jak wielka praca wychowawcza nas tu czeka.

Już z tak powierzchownie tylko naszkicowanego programu zadań akcyi wychowawczej wynika, że zwraca się ona bezpośrednio do dużo liczniejszych zastępów, niż to ma miejsce z akcyą oświatową, że wymaga osobistego współdziałania niemal wszystkich członków społeczeństwa. W tem leży jednak jej słaba strona, bo poruszenie całego społeczeństwa i zorganizowanie go do podobnej akcyi przedstawia z konieczności ogromne trudności. Trudności te są tem większe, że działalność wychowawcza stawia dużo większe wymagania względem tych, którzy jej się chcą poświęcić, niż to czyni akcya oświatowa. W samej rzeczy, łatwiej jest nauczyć się arytmetyki czy też historyi, aby później wykładać je innym, niż samemu nabyć silnego charakteru na to, żeby módz innych wychowywać i kierować niemi w budowie ich charakteru. Jasnem jest bowiem, że same tylko teoretyczne wiadomości o wychowaniu nie mogą wystarczyć do prowadzenia akcyi wychowawczej, że głównym czynnikiem w wychowaniu jest moralna wartość samego wychowawcy. Nieodłączne od charakteru cechy jednolitości, stałości i samodzielności sprawiają, że oddanie się pracy wychowawczej wymaga dużo więcej pracy nad sobą, dużo więcej poświęcenia, dużo więcej czuwania nad całem swem życiem moralnem i dlatego niejeden, pragnąc brać udział w akcyi społecznej, będzie wolał pójść po linii mniejszego oporu i odda się pracy oświatowej, stawiającej o tyle mniejsze wymagania osobistej pracy nad charakterem. Z tą bezwładnością wielu jednostek wobec konieczności przekształcenia siebie samego trzeba się będzie koniecznie rachować; sprawi ona, że ruch czysto oświatowy, intelektualny, zawsze będzie miał więcej zwolenników, że może nawet ruch wychowawczy spotka się u niejednego ze sprzeciwem

i z uprzedzeniem. A jednak można mieć nadzieję, że i on zjedna sobie choć małą na początek grupę zwolenników, którzy potem coraz szersze koła do akcyi zaczną wciągać.

Pierwszem zadaniem w tej dziedzinie będzie ustalenie w naszem społeczeństwie pewnych jasnych pojęć o wychowaniu i charakterze. Choć bowiem wiemy, że wychowanie nie może się ograniczać do szerzenia samych tylko wiadomości o wychowaniu, ale wymaga praktycznej pracy wychowawczej, to jednak praca ta musi się opierać na jasnych i ogólnie przyjętych zasadach, aby całe społeczeństwo w jednolitą ująć formę. U nas jest to tem ważniejsze, że właśnie w dziedzinie nauki o wychowaniu ulegaliśmy różnym prądom i dla tego panuje u nas na tym punkcie wielkie zagmatwanie pojęć. Chciałoby się poprostu, aby pewne elementarne pojęcia o wychowaniu charakteru stały się tak ogólnie znane jak tabliczka mnożenia, aby przynajmniej w kołach kompetentnych — a od nich i urobienie opinii publicznej zależy — nie dyskutowano już nad niemi tak, jak się nad tabbliczką mnożenia nie dyskutuje! Zapewne, że jest to porównanie tylko i że zagadnienia moralne nigdy nie będą miały tej jednającej wszystkie umysły oczywistości, co zagadnienia matematyczne; ale do pewnej jednomyślności można tu dojść i ten cel musi sobie akcya wychowawcza świadomie i wyraźnie założyć.

II.

Pierwszem zagadnieniem, które musi być zgodnie rozwiązane i postawione jako punkt wyjścia akcyi wychowawczej, jest właśnie to, któremu poprzednie studyum poświęciliśmy, a mianowicie stosunek oświaty do wychowania [1]). Jakeśmy widzieli, był i jest jeszcze i do dziś dnia u nas kierunek, który przeceniał wychowawcze znaczenie czysto umysłowego wykształcenia i zapominał o potrzebie wychowywania władz pożądawczych człowieka. Gdy jednostronna oświata nie dawała rezultatów wychowawczych, powstał siłą reakcyi prąd przeciwny, wrogi akcyi oświatowej, mniemający, że i bez niej można prowadzić akcyę wychowawczą; nieraz w naszych sferach pseudo-konserwatywnych można było odczuć to uprzedzenie do oświaty.

[1]) Patrz *Rok Polski*, nr. 7, wrzesień 1916.

Z obu stron popełniano tu błąd, który wciąż w dziejach myśli ludzkiej się powtarza i to w różnych dziedzinach; mieszano pojęcie tego, co jest koniecznem z pojęciem tego, co jest wystarczającem. Jedni z tego, że oświata i kształcenie umysłu są konieczne, wnioskowali, że są wystarczające, drudzy widząc, że nie są wystarczające, dochodzili do twierdzenia, że nie są konieczne. Prawda zaś jest pośrodku; kształcenie umysłu jest konieczne nietylko ze względu na ogólne potrzeby życia społecznego, ale i ze względu na specyalne potrzeby pracy wychowawczej; nie jest ono jednak wystarczające i samo wychowania nie zastąpi. Stąd, gdy oświata rozwija się jednostronnie, gdy równolegle z nią nie idzie akcya wychowawcza, może nawet być szkodliwą, lecz temu nie winna w tym wypadku oświata, ale brak wychowania; zamiast zwalczać pierwszą, trzeba jak najszybciej rozwinąć drugą, aby uzupełnić braki tamtej. Dla wychowania charakteru rozwój życia umysłowego nie tylko nie jest szkodliwy, ale w pewnych granicach jest wprost konieczny, w dalszym zaś rozwoju bardzo pożyteczny; sam jednak rozwój życia umysłowego tu nie wystarcza, nie wystarczają metody mu właściwe, konieczne jest systematyczne kształcenie władz pożądawczych, które na innych metodach niż ćwiczenie władz poznawczych się opiera i które wymaga innych warunków i innego środowiska. Nie sposób też zbyt wyłącznie zwalać na szkołę ciężaru wychowania i wyrzucać jej braki charakteru współczesnych pokoleń; praca bowiem wychowawcza musi być rezultatem wspólnej akcyi rodziny, Kościoła, szkoły i całego społeczeństwa i trzeba dążyć do tego, aby każdy z tych czynników mógł nadal wydatniejszy brać w niej udział; każdy z nich jest za nią odpowiedzialny.

Tak pojęty stosunek oświaty i wychowania nie powinien chyba spotkać się z żadnej strony ze sprzeciwem; wszyscy bez różnicy poglądów filozoficznych, religijnych i politycznych mogą się nań zgodzić i może się on stać wspólną platformą, któraby łączyła wysiłki wychowawcze całego społeczeństwa. Zapewne, że to bardzo ogólny punkt wyjścia, który nie zapobiegnie daleko idącym różnicom zdań w szczegółowem przeprowadzeniu programu wychowawczego, ale dla rozpoczęcia akcyi wychowawczej może on być bardzo cenny. W ciągu samej akcyi wyłoni się niewątpliwie więcej takich wspólnych punktów widzenia w miarę, jak

od teoryi dzielącej ludzi, przechodzić się będzie do praktyki, która bardziej zbliża i łączy.

Po za tem wstępnem zagadnieniem, które powinno w naszem społeczeństwie znaleść jak najszersze zrozumienie, trzeba będzie osobno omówić i przedyskutować rolę wychowawczą tych pięciu czynników, któreśmy wyżej wymienili i zapytać się, jak one swą rolę wypełniają, na jakim punkcie i jakimi środkami należy ich wpływy wzmocnić i pogłębić. I tu niewątpliwie dojdzie się do pewnej ilości wspólnych poglądów, które będą mogły stać się podstawą wspólnej akcyi wychowawczej.

W związku z działalnością wychowawczą Kościoła koniecznem będzie omówić sprawę tak źle u nas rozumianą i tak błędnie nieraz tłómaczoną: stosunku religii do moralności, lub innemi słowy, stosunku moralności przyrodzonej tej, do której sam rozum własnym swym siłom pozostawiony dojść może, do moralności nadprzyrodzonej, wynikającej z objawionych prawd wiary. I na tym punkcie panuje pomieszanie pojęć podobne do tego, któreśmy podkreślili, mówiąc o stosunku oświaty do wychowania. Jedni widząc, jak konieczna jest moralność przyrodzona, sądzą, że jest ona wystarczająca i zajmują wobec moralności nadprzyrodzonej wrogie stanowisko. Drudzy zdając sobie dobrze sprawę z tego, że moralność przyrodzona wystarczyć nie może, niedoceniają jej doniosłości, mniemają jakby, że nie należy jej osobnej uwagi poświęcać, że sama moralność nadprzyrodzona może ją doskonale zastąpić. Z pierwszem zapatrywaniem spotykamy się nieraz w sferach wrogo dla religii usposobionych, z drugiem w pewnych kołach katolickich, w których gorliwości w sprawach wiary nie zawsze odpowiada wykształcenie religijne. Tak np. ruch skautowy spotkał się ze strony niektórych działaczy katolickich z potępieniem, a to dlatego, że miał jakoby szerzyć moralność „racyonalistyczną". Ma się rozumieć, że ruch skautowy z moralnością racyonalistyczną nie ma nic wspólnego, nie wyklucza moralności nadprzyrodzonej, nie odciąga od niej młodzieży, ale za swe specyficzne zadanie uważa wzbudzenie w młodzieży samorzutnego dążenia do wyrobienia sobie dzielnych charakterów; stara się on stworzyć pewne środowisko, pewną atmosferę moralną sprzyjającą tej pracy. Niedocenianie tej pracy o charakterze przyrodzonym i rozumowym, ale nie wykluczającym sił nadprzyrodzonych, owszem uznającym ich wielką doniosłość, jest tu oczywiste i może mieć nieraz jako rezultat tem

silniejsze uprzedzenia do religii moralności nadprzyrodzonej i ze strony przeciwnej. Tymczasem prawda i tutaj jest pośrodku: moralność przyrodzona jest konieczna i silny nacisk na nią przy wychowaniu i pracy nad charakterem kłaść należy, ale jest niewystarczającą i musi szukać w moralności nadprzyrodzonej i sił, i światła, i dopełnienia luk w swym własnym programie. Koniecznem będzie szersze rozwinięcie [1]) tego zagadnienia w osobnem studyum; należy ono bowiem do tych, które najbardziej mogą utrudnić jednolitą akcyę wychowawczą; jednak przy dobrej woli i w tej sprawie można znaleść dużo punktów stycznych, które pozwolą pewne podstawowe zadania wspólnemi siłami przeprowadzić.

Innem jeszcze zagadnieniem, co do którego musi nastąpić pewne porozumienie lub przynajmniej pewne wyjaśnienie pojęć, jest sprawa wychowania narodowego. Wśród budzącego się bowiem zainteresowania zagadnieniami wychowawczemi bardzo silnie rozlega się postulat, aby wychowanie miało wybitnie charakter narodowy. Niestety jednak żądania te rzadko kiedy wychodzą poza zakres frazesów i rzadko kiedy doprowadzają do ściślejszego określenia, na czem właściwie ma polegać ten charakter narodowy wychowania.

Postulat wychowania narodowego i różne znaczenia, jakie może przybrać, trzeba będzie poddać osobnemu rozbiorowi. Tymczasem zaznaczmy tylko, że najważniejszym punktem w tej sprawie będzie gruntowne zdanie sobie sprawy z indywidualnych własności charakteru, a raczej temperamentu narodowego. Wychowanie nie może się odbywać *in abstracto;* nie wychowuje się jakiegoś oderwanego człowieka, który wszędzie, pod każdą szerokością jest ten sam, ale człowieka konkretnego, z krwi i kości, którego życie moralne zależnie od rozmaitych warunków i okoliczności w najrozmaitszych może się przejawiać formach. Pomimo daleko idących odchyleń pomiędzy pojedyńczymi osobnikami można jednak dostrzedz pewne cechy wspólne poszczególnym grupom i uwzględnienie tych cech wspólnych, może wychowaniu nadać pewien odrębny charakter, może je zróżniczkować do pewnego stopnia.

---

[1]) Poświęciłem mu artykuł p. t. „Moralność a religia“ we *Wiadomościach Archidyecezyalnych Warszawskich* 1911, Nr. 3—6.

Otóż wychowanie musi uwzględnić właściwości indywidualne każdego narodu i z tego względu musi ono mieć charakter narodowy. Trzeba dobrze poznać ten materyał, z którego w danem środowisku wypadnie budować charaktery, podłożem bowiem charakteru narodowego jest temperament narodowy.

I na tym więc punkcie trzeba będzie się starać, aby nasze społeczeństwo zdało sobie sprawę ze swych właściwości, jako podmiot wychowania, żeby sobie uświadomiło swą wartość wychowawczą. Trzeba całemu społeczeństwu powtarzać hasło greckiego filozofa: „znaj samego siebie". Dopiero gdy poznamy nasze właściwości narodowe, będziemy mogli zastosować ogólne zasady wychowawcze do naszych potrzeb; zobaczymy, które części składowe charakteru trzeba wzmocnić, które lepiej dopasować, które wygładzić i oszlifować.

Takie postawienie zagadnienia nie może nie wzbudzić zainteresowania. Dzieje nasze od wieków, literatura, wreszcie współczesne obyczaje, wszystko to powinno zostać przestudyowane z powyższego punktu widzenia, a to w celu możliwie ścisłego określenia, czem jest temperament polski, jakie są te dane, które niezależnie od nas przynosimy ze sobą na świat i które musimy potem przerobić na silne charaktery. Koło tak pojętego programu wychowania narodowego nie trudno będzie chyba zjednoczyć tych wszystkich, którzy się interesują tem tak ważnem zagadnieniem.

Jedna jeszcze ogólna uwaga nasuwa się tu z konieczności, na jednym bowiem jeszcze punkcie trzeba uzyskać pewną jednomyślność zdań, jeśli akcya wychowawcza ma się dobrze rozwijać i pozyskać sympatyę ogółu. Chodzi o to, żeby z działalności wychowawczej zdjąć pewne odium, które ciąży na tej dziedzinie moralnej i czyni z niej w mniemaniu wielu krainę śmiertelnej nudy. Nietylko u ludzi lekkomyślnych, dla których oprócz zabawy nic niema interesującego na świecie, ale i u wielu ludzi myślących panuje silne uprzedzenie do zagadnień moralnych i wychowawczych. Cnota jest w ich pojęciu czemś *a priori* nudnem i skostniałem, działalność zaś wychowawcza sprowadza się do moralizowania i mówienia kazań wciąż w kółko o tem samem, przytem ton moralizatora musi być podniosły, namaszczony, wygląd surowy, ruchy sztywne. Nieuniknioną konsekwencyą takiego pojmowania zadań wychowania moralnego jest to, że na samo o niem wspomnienie

muszkuły w twarzy się kurczą i ogarnia nas niczem niepohamowane ziewanie; wiele też osób, widząc, że do takiego nastroju nigdy się nagiąć nie potrafią, sądzą, że się nie nadają do działalności wychowawczej.

Otóż warto się chyba zapytać, czy rzeczywiście cała praca wychowawcza winna się odbywać w tym namaszczonym tonie, czy niema innych czynników w naszej psychice, któreby należało też wciągnąć do udziału w kształceniu charakterów.

Zaznaczyliśmy już dosyć wyraźnie, że wychowanie nie odbywa się jedynie za pomocą gadania, że nie słowo, ale czyn zajmuje w pracy wychowawczej pierwsze miejsce; wychowuje atmosfera moralna, w której się młodzież obraca i która sprawia, że powoli wciąga się ona, sama nie zdając sobie z tego sprawy, do coraz lepszego spełniania swych obowiązków. Niemniej jednak i pierwiastek intelektualny odgrywa w wychowania swą rolę i nie powinien być zapoznawany. Do dzieci trzeba mówić o zagadnieniach moralnych, trzeba im stawiać przed oczami problematy wychowania, trzeba nawet umieć je dziedziną życia moralnego zainteresować. Żywe słowo ma tu więc dużą rolę do odegrania i warto się zapytać, w jaki sposób ma ją ono wypełnić.

Oprócz rzeczowego przedstawienia obowiązków moralnych, mającego za zadanie rozumowo je uzasadnić, żywe słowo w dziedzinie moralnej może mieć jeszcze inne zadanie, mianowicie wpłynąć na wolę i uczucia i pobudzić je do czynu. Dwa są podstawowe tony tej pracy: patos i humor i wychowawca winien umieć posługiwać się i jednym i drugim, winien wiedzieć, kiedy w jeden ton, a kiedy w drugi uderzyć.

Otóż właściwe wymiarkowanie obu tonów nie należy do zalet pedagogiki polskiej i stąd pochodzi to pewne uprzedzenie u nas do spraw wychowawczych i do zagadnień moralnych. Mamy stałą skłonność do nadużywania patosu, a niedoceniania humoru i to jest źródłem tego znudzenia, które zdaniem wielu jest nieodłączne od akcyi wychowawczej. Skłonność ta zresztą łączy się ściśle z naszym temperamentem sangwinicznym. Sangwinik zawsze pochopny jest do przejawów patetycznych, zaś dla spokojnego głębokiego humoru mało ma zrozumienia; przy lada okazyi wchodzi na koturny, nie zdając sobie sprawy, ile energii na to sztuczne podniecanie się traci.

Najbardziej bowiem uderzająca różnica między patosem a humorem polega na tem, że pierwszy jest naprężeniem, drugi rozprężeniem; pierwszy wymaga wzmożenia działalności jednej czy też kilku władz duszy, drugi sprawianatomiast, że wszystkie władze się uspakajają i umysł z całym spokojem, z pewną radością nawet przygląda się scenom, które rozgrywają się przed nim. Otóż w akcyi wychowawczej trzeba czasami żywem słowem wywołać naprężenie władz duszy, trzeba młode charaktery ćwiczyć i w tym kierunku; ale gdy się nadużywa tonu patetycznego, łatwo wywołuje się zmęczenie i znudzenie; na zewnątrz przybiera się w dalszym ciągu postawę odpowiadającą nastrojowi patetycznemu, ale wewnątrz na ten wysiłek już się trudno zdobyć. Wynika z tego fałszywy patos, który wogóle jest bardzo nużący, a w dziedzinie wychowania jest wprost zabójczy.

Bardzo jest ważnem tedy umieć nie tylko wywoływać naprężenie władz umysłowych, ale także umieć wywołać ich rozprężenie i z takich chwil rozprężenia korzystać dla celów wychowawczych. To jest właśnie zadaniem humoru. Niejedną prawdę życiową, niejedną zasadę moralną można młodym umysłom przyswoić, przedstawiając im śmieszność, wynikającą z ich zapoznania w życiu; nieraz będzie tam więcej jak śmieszność, bo i głęboki tragizm, ale łatwiej będzie doprowadzić do zrozumienia tego tragizmu i wyciągnięcia zeń praktycznej nauki, wzbudziwszy najprzód zainteresowanie śmiesznością chociażby zewnętrznej sytuacyi. Wogóle nastrój wywołany humorem sprawia, że młody umysł łatwiej wchłania i przyswaja sobie cudze doświadczenie życiowe niż to ma miejsce w naprężeniu patetycznem, i na tem właśnie polega jego wychowawcza doniosłość. Zrozumiała to mądrość starożytnych, radząc *„ridendo castigare mores“* i tworząc formę literacką, zwaną bajką, której celem jest właśnie moralizować humorem.

U nas w Polsce humor zbyt mało jest używany w dziedzinie wychowawczej, zbyt mało go znaleść można w stosunkach między wychowawcami a wychowankami. Dość porównać naprzykład zetknięcia się obu tych stron na rozmaitych uroczystościach tak, jak się odbywają u nas i na Zachodzie. U nas na uroczystościach tego rodzaju, jak imieniny przełożonych, wieczorki lub obchody patryotyczne, zawsze dominuje nuta patetyczna; nieraz biedni wychowawcy muszą już za życia wysłuchiwać przy podobnych oka-

zyach swych mów pogrzebowych; do deklamacyi wybiera się jedynie patetyczne kawałki z naszej literatury, a na humor nie staje już miejsca. Na Zachodzie wprost przeciwnie, dominującym tonem jest wesołość i tylko gdzieniegdzie odezwie się dyskretnie ton patetyczny, tem szczerszy właśnie i świeższy, że nie tak zużyty, jak u nas.

Konieczną jest więc rzeczą, abyśmy nasz młody ruch wychowawczy odrazu nastroili na tę nutę radości, abyśmy sobie zdali sprawę z tego, że w zdrowej atmosferze wychowawczej musi być spora doza radości. Tak samo od tych wszystkich, którzy się pragną poświęcić akcyi wychowawczej, winniśmy wymagać dużej dozy radości życiowej; niezdolność do niej w dużo większym stopniu niż niezdolność do patosu winna być uważaną za brak uzdolnienia do działalności wychowawczej.

Już ten wielki obserwator życia, jakim był Goethe, twierdził, że wesołość jest matką wszystkich cnót, a św. Franciszek Salezy widział w niej jeden ze składowych czynników świętości; mawiał on bowiem: „*un saint triste, c'est un triste saint*".

Oto kilka podstawowych zagadnień, wobec których młody nasz ruch wychowawczy będzie musiał zająć wyraźne stanowisko. Sądzimy, że nie trudno będzie uzyskać na powyższych czterech punktach pewną jednomyślność, którąby pozwoliła rozwinąć w Polsce na szeroką skalę jednolitą akcyę wychowawczą. Niejedno z poruszonych zagadnień będzie wymagać, aby doń powrócić jeszcze, aby je głębiej jeszcze zbadać i gruntowniej wyjaśnić. Wiele nowych kwestyi wyłoni się też prawdopodobnie w ciągu akcyi i zażąda od nas, abyśmy dla nich znaleźli jednomyślne rozwiązanie. I pomimo niejednej trudności, jaką w tej pracy napotkamy, możemy napewno rachować na powodzenie, jeżeli zechcemy wyzbyć się wszelkiej skłonności do uprzedzeń i rachować przedewszystkiem z konkretnemi potrzebami życia.

Już przy rozstrząsaniu tych kilku zagadnień wychowawczych, które nam w danej chwili najpilniejszemi się wydały, kierowaliśmy się przedewszystkiem obserwacyą konkretnych danych życiowych. I tylko na tej drodze można uzyskać jednomyślność, bo systemy filozoficzne dzielą ludzi, a łączy praktyka życiowa. Nie znaczy to, żebyśmy nie mieli oprzeć działalności wychowawczej na zasadach filozoficznych; owszem, silne podstawy rozumowe są tu konie-

czne, ale chodzi o to, aby nie czerpać ich z oderwanych systematów filozoficznych, nie rachujących się nieraz z rzeczywistością, lecz szukać ich przedewszystkiem w obserwacyi życia. Za przewodników w tej pracy można obrać tych tylko myślicieli, którzy mieli oczy szeroko otwarte na otaczający ich świat, którzy system smój wysnuli nie z siebie, ale z głęboko przemyślanego doświadczenia i minionych pokoleń i swego własnego.

O. Woroniecki O. P.

Poezya polska w latach wielkiej wojny.

Nawołując do p r a c y, którą „trzebaby podjąć z całą pasyą i gwałtownością„, do „pracy nad stworzeniem wspólnego narodowego i społecznego rozwoju“, pracy, „podsycanej nie tylko przez moc pieśni,... lecz przez świadomość powszechną i przez białoorlą, drapieżną, zdobywczą żądzę plemienną“ — Ż e r o m s k i surowo i bezwzględnie ocenił [1]) plon poezyi, zrodzonej czasu wojny:

„Pismiennictwo, zaskoczone, wyprzedzone o tysiąc mil przez wypadki, oniemiałe i osłupiałe — stało się przeważnie odruchowym, naśladowczym słowotokiem, stekiem bombastycznych wierszy i barokowej prozy. Czczość patosu bez wewnętrznego ognia, któryby się palił w istocie, przelewa wyrazy w świetle pogorzeli, w huku bitew, wobec czarnych piecowisk, pól nędzy, szeregu mogił i przed rozpaczą, skamieniałą w milczeniu“.

Surowy ten sąd powstał niewątpliwie pod wrażeniem istnego potopu wierszy i nowel wojennych, jaki spłynął na łamy dzienników i czasopism w pierwszych kilku i kilkunastu miesiącach wojny.

W y b i t n i p o e c i z a m i l k l i lub odzywali się tylko z rzadka. K a s p r o w i c z, T e t m a j e r — zdala od zgiełku dnia przeżywali wojnę wewnętrznie i śpiewali sobie, nie komu; melodyjne, głęboko odczute liryki S ł o ń s k i e g o, które niezmierną uzyskały popularność jako prosty, nieraz naiwny wyraz dążeń i marzeń zbolałej, ale ufnej duszy polskiej, nie przedzierały się poza linię okopów nad Nidą...

Natomiast dziesiątki wyrobników literatury, dziesiątki grafomanów, mnóstwo czułych duszyczek kobiecych — wszyscy na wy-

---

[1]) „Sen o szpadzie i sen o chlebie“: Literatura a życie polskie. Zakopane. Nakładem Księgarni Podhalańskiej 1916. Str. 67.

przódy silili się na wyrażenie grozy wojny. Poeci *„hinterlandu“*, z których żaden prochu nie powąchał i nie zajrzał do rowu strzeleckiego, gryzipiórki, pracujący w kancelaryach wojskowych, malowali wzruszające obrazy żołnierskich przeżyć, zabarwiając je na przemiany bądź idealistycznie, bądź naturalistycznie, uciekinierzy, którzy na pierwszy alarm ulecieli za granice kraju, potokiem łez atramentowych oblewali z bezpiecznej dali zgliszcza i ruiny.

A wszyscy byli takimi patryotami! Tak krzyczeli: Polska! Polska!

Surowy, podobny do zdania Żeromskiego, sąd wydał o tem zjawisku Kasprowicz w „Księdze ubogich“:

Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupczykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.

Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, iż żyje dla Niej...

Sztandary i proporczyki,
Przemowy i procesyje —
Oto jest treść Majestatu,
Który w niewielu żyje...

Fałsz wewnętrzny, bezsilne, w bombaście lubujące się fantazyowanie, niezdolność do zrozumienia i odczucia druzgocącej realnej potęgi wojny — cechowały na ogół tę produkcyę literacką wojenną, zalewającą z początku szpalty dzienników, produkcyę, która nadarmo siliła się sentymentalnie wzruszać lub przerażać i gloryfikować swoich wybrańców. Gdy w czasie wojny japońskiej Leonid Andrejew napisał swój głośny „Czerwony śmiech“, Lew Tołstoj powiedział o nim: „On mienia pugajet (straszy), a mnie zawsiem nie straszno“.

Ale ten zalew grafomaństwa spłynął.

Na brzegu pozostała jednak garstka pereł, które wzburzone do gruntu morze z głębi swej wyrzuciło, pereł o pięknym blasku i dużej poetyckiej wartości — i sporo barwnych, ładnych kamyków, które nęcą wzrok. Przemówili wybitni znani poeci, wystąpił szereg młodych talentów z utworami, w których zwierciedli się dusza polska i wielki moment dziejowy.

Wcale obfity plon poetycki wydały ubiegłe dwa lata wojny. Na półkach księgarskich ukazały się: wspaniała „Księga ubogich" Jana Kasprowicza — i tomiki: Kazimierza Tetmajera „Cienie" (Kraków 1916, nakładem C. B. W. N. K. N.); Edwarda Słońskiego i Zdzisława Dębickiego „Ta, co nie zginęła" (Warszawa 1915); E. Słońskiego „Idzie żołnierz borem, lasem" („Wiersze i zapiski E. S. o Polsce, o wojnie i o żołnierzach", wydane nakładem Tow. „Nowina" 1916); Władysława Orkana „Pieśni czasu" (Piotrków 1915, Bibl. „Dziennika Narodowego"); K. Łepkowskiego „Szlakiem legionów" (Wiedeń 1915, skład główny w księgarni H. Goldschmiedta); „Nasza wiosna" (Wiedeń 1916, nakładem „Il. Kuryera Codziennego"); Henryka Zbierzchowskiego „Pieśni wojenne o Legionach polskich" (Stanisławów 1916, nakładem M. Hasklera); Józefa Relidzyńskiego „Wieją wiosenne wiatry"... („Poezye wolnościowe i legionowe" z przedmową K. Tetmajera, Kraków 1916, nakładem G. Gebethnera i Spółki); Leona Rygiera „Wieść o archaniele" (Kraków 1916, nakładem C. B. W. N. K. N.); Tadeusza Szantrocha „Z lutni żołnierza" (Kraków 1916, nakładem C. B. W. N. K. N.); Stanisława Stwory „Strofy czasu 1914—1915" (Kraków 1915); Jana Starzewskiego „Wiersze wojenne" (Kraków 1916, nakładem autora); Maryli Czerkawskiej „Poezye z 1914—1915" (Kraków 1915, nakładem księgarni Leona Frommera). — Wymienić jeszcze należy napisane przed wojną, ale wydane dopiero obecnie, Włodzimierza Przerwy Tetmajera „Racławice", powieść wierszem, ksiąg sześć, i „Marsz Skrzyneckiego" (Kraków, bez daty roku, nakładem księgarni J. Czerneckiego w Wieliczce); Edwarda Leszczyńskiego „Ballady i pieśni" (Kraków 1916, nakładem C. B. W. N. K. N.). Pojawiły się też trzy antologie współczesnej poezyi (L. Szczepańskiego, Dr. Fischera, Łempickiego i Balickiego), kilka zbiorków pieśni i śpiewek z nutami... Wreszcie zaliczyć by tu można „Sambrę i Mozę" E. Ligockiego, pierwszą

polską powieść o wojnie, nakreśloną, a rcczej naszkicowaną, nerwowem, wrażliwem piórem, której rozdziały autor oplata i łączy lirycznemi pięknemi strofami. — Przemówili T. Miciński, Or-Ot, Czesław Jankowski, sarkastyczny zawsze Lemański, polemicznie nastrojona Jadwiga Marcinowska, B. Hertz, piszący polityczne bajki; Artur Ćwikowski skreślił kilka wstrząsających realizmem urywków z „Pamiętnika żołnierza wielkiej wojny". Na łamach dzienników i czasopism wyróżniają się nazwiska Józefa Mączki, legionisty o szczerym talencie poetyckiem, W. Denhoffa Czarnockiego, J. Teslara, E. Biedera i innych liryków, którzy prac swoich nie zebrali w zbiorkach. Plon wcale obfity mamy przed sobą.

Zajrzyjmy w oczy i w serce tej poezyi, nierównej pod względem siły napięcia i mocy wyrazu, ale nacechowanej wspólnem znamieniem, że zrodziła ją wojna i że drga w niej wiara w nową przyszłość narodu. Jest to poezya, jak rzut oka na tytuły zbiorków poucza, przeważnie żołniersko-legionowa i polityczna.

Rodzą się wśród wycia huraganu i grzmotu piorunów nowe światy: a poeta polski wytęża wzrok w ciemności, rozwidnione pożogą setek miast i szumiące potokami krwi, wierząc niezłomnie, że wzejdzie gwiazda Polski nad odmęty. W uszach mu dźwięczą słowa romantyków i błagalne modły Wyspiańskiego; wiara w naród rozpłomienia mu umysł i serce.

A może z straszliwej zawiei
Co świat ten naokół niszczy,
Nie same li gruzy wyrosną,
Nie same li kupy zgliszczy?

Może w zapasach olbrzymów
Złe się nareszcie przełamie
I Bóg już na jego miejscu
W ludzkim zamieszka chramie?

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

...Zasie nowa się wieczność
Z krwawej poczyna rzeki,

By dziękczynnego „*Te Deum*"
Słuchać po wieków wieki...

Niech otwierają się rany,
Niech krew się leje do woli,
Byle ta wieczność wyrosła
Z tak umierzwionej roli.

Na bohaterskim niech stosie
Najlepsze konają serca,
Skoro podpali go wiara,
Że wieczność ta nie uśmierca.

Że chociaż wszystko stlało,
To jeszcze z jakiegoś ukrycia
Zaczną się sypać iskry
Na bohaterski stos życia!

Napewne! napewne! napewne! —
Niechże ta pewność mnie krzepi!
Czas idzie, gdzie głusi usłyszą,
I w którym już przejrzą ślepi.

Czas idzie nieprzewidziany,
A może przewidzian wielce
Przez dusze, co światów bez miary
W miernej dowidzą kropelce [1]).

Co jednak czynić, jaką drogą iść? pyta polityk. A wespół z nim pyta poeta.

Poezya kojarzy się z polityką.

Poeta idzie między działacze; czuje się przewodnikiem narodu, którego porywy i nadzieje zamyka w słowach, czuje się znów, wzorem romantyków, wieszczem, prostującym ścieżki narodowe.

Ze związku polityki z poezyą rodzi się poezya polityczna. Rozwój i polot tego skrzydlatego dziecięcia nie szkodzi społeczeństwu, owszem zagrzewa je i krzepi do czynu, byle tylko ta poezya nie szybowała wyłącznie w podobłocznych regionach fantazyi i nie uważała się za powołaną do zastępowania wszędzie

---

[1]) J. Kasprowicz „Księga ubogich".

swej macierzy. Nie dobrze się jednak dzieje, gdy z owego związku wyniknie poetyczna polityka — i gdy ujarzmi swą rodzicielkę, poezyę, i zaprzęgnie ją do swego rydwanu. Poezya wznosi się w sfery ideału, ma przed oczami prawdy abstrakcyjne i z twardą rzeczywistością liczyć się nie potrzebuje; polityka opiera się na konkretnych faktach, waży dokładnie warunki czynu, liczy się z realną możliwością. Poezya, która chce wykreślać realne drogi polityczne, bierze na siebie zbyt ciężkie zadanie — a jej rozkwit świadczy o anormalnym, gorączkowym stanie społeczeństwa.

Anormalne warunki bytu politycznego wytworzyły u nas anormalną pobudliwość. Świadomość nieprzedawnionych praw, tkwiąca żywo w każdym polskim umyśle, wznieca w nas gorączkę, rozżagwia płomień szczytnej romantycznej ekstazy, ilekroć nadzieja otwiera nam widoki realizacyi pragnień, ale ten płomień nieraz oślepia, a egzaltacya kieruje na bezdroża.

Między poetami, którzy poszli w służbę romantycznej polityki, a społeczeństwem — przychodzi niejednokrotnie do rozdźwięku. Poeta obwinia swych braci o „kartoflarstwo“, niezdolne do zrozumienia wielkości chwili dziejowej i zbawczej mocy „czynu“, społeczeństwo zastrzega się przeciw romantyczności w życiu, powołując się na swe doświadczenia. Poeta odczuwa ten rozdźwięk boleśnie, szarpie się, buntuje, rzuca gromy i przekleństwa.

Poezya ujawnia w całej jaskrawości rozbieżność dróg myśli narodowej, choć wspólny cel wszystkim przyświeca, maluje tragiczną anormalność położenia narodu, rozdartego na części, niemającego jednolitego frontu. Aby tę poezyę zrozumieć, trzeba tedy wniknąć w psychikę narodu i zdać sobie sprawę z sytuacyi politycznej i z nastroju dusz, w jakim nas wojna zaskoczyła.

* * *

Bo wojna nas zaskoczyła. I nawet dzisiaj, po dwu latach tej wojny, do której końca jeszcze pono daleko, a która, jak spodziewamy się, przeobrazi z gruntu starą Europę, może nie wszyscy uświadomili sobie w pełni znaczenie i cele światoburczych zapasów, nie pojęli istoty tej wojny. Wojna, choć przewidywana i przepowiadana przez tylu fachowców wojskowych, publicystów, polityków i powieściopisarzy za granicą, ta wojna, o której marzyli romantycy nasi, o którą prosi Mickiewicz u Wyspiańskiego w „Le-

gionie“: „Prosimy Cię, Boże cudów, o wojnę, o wojnę ludów!“, ta wojna europejska, od której od stu lat wyczekujemy zbawienia — ta wojna nas zaskoczyła. Możemy się zgodzić (acz inne wnioski wyprowadzamy z tej przesłanki!) z panem Dr. W. L. Jaworskim, ówczesnym prezesem N. K. N., gdy w przemówieniu swojem na obiedzie dla p. Piłsudskiego w Wiedniu dnia 22. grudnia 1914 roku oświadczył: „Wojna zastała nas niestety nieprzygotowanych — nie mówię o przygotowaniu materyalnem, ale o przygotowaniu ideowem“ [1]). Przytoczymy tu też początek manifestu [2]) Piłsudskiego do Strzelców, ogłoszonego „w kwaterze głównej w Kielcach“ d. 22. sierpnia 1914 roku:

„Żołnierze! Wśród powszechnej bierności (?!) naszego społeczeństwa wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez określonej decyzyi, bez możliwości jednolitego i silnego postępowania“.

Słyszeliśmy głosy konserwatysty galicyjskiego i radykała społecznego, oba zgodne, zaczem możemy przyjąć za stwierdzone, że wojna nas zaskoczyła.

Jakiż był stan umysłów przed wojną?

Po katastrofie 1863 roku hasło pracy organicznej zapanowało wszędzie. W dwu zaborach przyszło nam staczać długą, najcięższą, rozpaczliwą walkę o byt narodowy z haniebnym uciskiem, walkę, która absorbowała wszystkie siły. Aż wybuchła wojna rosyjsko-japońska w 1904 r., niosąc nadzieję przeobrażenia się Rosyi i poprawy narodowego bytu w Królestwie, tej największej i najważniejszej części dawnej Rzeczypospolitej. Rewolucyjno-narodowy gorący wiatr powiał po ziemiach polskich w zaborze rosyjskim, rozpłomieniając umysły, egzaltując dusze, i tak skłonne do egzaltacyi. Społeczeństwo żyło tradycyami 1863 roku — żyło ideologią romantyzmu — a barbarzyństwo rosyjskie potęgowało w nas pierwiastki romantyczne. Straszliwie ciężkie warunki, w których praca narodowa odbywać się mogla nieraz tylko sposobem konspiracyjnym, wyrabiały w działaczach nadmiar poetycznej fantazyi i żarliwość ofiarniczą o mistycznem zabarwieniu... Rewolucyonista w walce z rządem carskim był jak myśliwy,

---

[1]) „Mowy prezesa N. K. N, Wł. L. Jaworskiego“, nakładem Centr. Biura Wydawnictw N. K. N., Kraków 1915.

[2]) „Legiony Polskie 16. sierpnia 1914 r. do 16. sierpnia 1915 r.“ (Dokumenty). Nakładem Departamentu Wojskowego N. K. N., Piotrków. Str. 17.

polujący w dżungli na tygrysa... „Rewolucya“ lat 1904 i 1905 objawiła się rewoltami, strejkami, zamachami, działaniem bojówki — i zwyrodniała. W tych miesiącach fermentu i burzy nienawiść żywiołowa do Rosyi, pragnienie odwetu za krzywdy od niej doznane, tradycya 1863 roku, romantyczna wiara w zbawczą moc wojny i utopijność rewolucyjna — złożyły się na wyprawę p. Piłsudskiego do Tokio! P. Piłsudski próbował nakłonić rząd japoński do zorganizowania powstańczych legionów-bojówek na tarenie polskim — usiłowanie, które pod maską pozytywnej roboty kryło utopijność fantastyczno-romantyczną, graniczącą z szaleństwem, a mogło ewentualnie na ludność Królestwa zwalić nowe brzemię prześladowań.

Wodzowie bojówki, którzy po zwyrodnieniu rewolucyi, schronili się na ziemię galicyjską, śnili tu dalej swój „sen o szpadzie“ i szerzyli ideologię rewolucyjno-powstańczo-militarną, licząc na wybuch wojny europejskiej. Zrozumieli, że bojówka nie wystarczy, że trzeba żołnierza, że trzeba choćby zawiązku armii — i jęli tworzyć tajne zrazu, militarne organizacye wśród młodzieży zapalnej. Pod ich wpływem powstała literatura „chimerycznego neoirredentyzmu“, że użyjemy określenia p. K. Srokowskiego [1]). Umysłowość autorów, propagujących ten kierunek, znamionował „automatyzm“, czyli „zatrzymanie raz nadanego rozpędu rewolucyjnego“. Ów „automatyzm“, pisze p. Srokowski, „cechuje uczucie uporu wyimaginowanej siły i niezachwianej wiary, które w dziedzinie myśli dają znowu konstrukcye optymistyczne, wrogie wszelkiemu krytycyzmowi, oparte przeważnie na dedukcyach z dowolnie wybranych i za dogmaty uznanych założeń“.

Trzeba jednak rozróżniać między dwoma typami irredentyzmu. „Istnieją bowiem dwa typy. Jeden realistyczny i trzeźwy, polega na dążeniu do spożytkowania wszystkich nadających się sposobności, do fruktyfikowania zmieniających się kolejno konjunktur politycznych i międzynarodowych w jednym ścisłym określonym celu... Taki irredentyzm... jest potrzebny i pożyteczny, skoro tylko zbyt gorące pragnienia nie zaćmiewają jego zdolności patrzenia i jasnego widzenia, skoro zimna i nieubłagana logika, a nie marzenie, steruje jego myślami, skoro wnioski rodzą się nie

---

[1]) „Teorye neoirredentyzmu polskiego“, Kraków 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Spółki.

z pragnień, ale z faktów, jak najdokładniej zbadanych i najtrafniej zrozumianych... Istnieje jednak druga forma irredentyzmu, który jest najczystszą romantyką, jaskrawem zaprzeczeniem irredentyzmu pozytywnego, realnego. Tam marzenie jest zwykle przesłanką, a pragnienie formuje wniosek. Tam mimo wszystkie pozory ścisłości króluje niepodzielnie chimera, która raz nazywa się kultem t. zw. „czynu“ przez duże „C“, drugi raz wiarą w t. zw. „konieczność historyczną“ itp. Ten rodzaj irredentyzmu jest najbardziej szkodliwy, zaciemnia on bowiem zamiast rozjaśniać narodowe drogi. Niestety jednak jest on u nas najbardziej rozpowszechniony“.

Ideologowie „chimerycznego irredentyzmu“, pp. Studniccy, Sokolniccy, Brzozy i inni, dochodzili w swych patologiczno-patryotycznych wywodach do absurdów, które zresztą ogół wysłuchiwał z uśmiechem pobłażania. I kogoż mogły np. w roku 1911 przekonać takie wywody p. Studnickiego[1]):

> „Czyż współczesna technika wojskowa nie wyklucza powstania?
>
> Bynajmniej nie wyklucza, lecz umożliwia. Przypomnijcie, jak się zaczynało powstanie 1863 roku. Napad na koszary bronią sieczną i dubeltówkami myśliwskiemi. Czyż dziś nie korzystalibyśmy w podobnych wypadkach z bomb, min itp. środków, które dostarcza współczesna technika?
>
> Współczesna bitwa pod wpływem współczsnej techniki — to partyzantka“.

Tak rozumował w roku 1910 p. Studnicki. Dziś po dwu latach wojny, która operuje milionowemi masami, w której garstki „powstańców“ nic nie znaczą, a wszelkie próby franktirerstwa pociągają za sobą jeno zniszczenie bezlitosne całych miast, dziś, gdy wojna jest przedewszystkiem problematem techniki i intendantury, problematem artyleryi, kolei, fabryk i arsenałów — rozumowania pp. Studnickich występują dopiero w całej krasie swej naiwności!

Ale jądro, z którego wyrosły owe chimeryczne teorye, było niemniej zdrowe. Na dnie porywów i tęsknot całego pokolenia spoczywało coraz silniej — w miarę uświadamiania się miazgi etnicznej narodu — ujawniające się pragnienie własnej państ-

---

[1]) „Sprawa polska w dobie obecnej“. Referat Wł. Studnickiego na kongresie polskim w Washingtonie dnia 20. maja 1910 roku. — Broszura wydana w roku 1911 bez podania miejsca i nakładcy.

w o w o ś c i, pożądanie możności życia własnem życiem, dla własnych narodowych celów, zajęcia należnego miejsca w kole narodów. Konrad w „Wyzwoleniu“ Wyspiańskiego błaga Boga w noc świętą:

„...Byś zwiódł z wędrówki długiej
Mój naród do wszechmocy,
B y ś d a ł, c o m a j ą i n n i...
— — — — — — — — — —
Daj nam poczucie siły
I Polskę daj nam żywą,
By słowa się spełniły
Nad ziemią tą szczęśliwą —
Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi!
Niechże w nie duch Twój wstąpi
I spiące niech pobudzi!“

Naród, który, bolejąc nad utratą wielkości „z grobami się rówieśnił“, widział się „zawisłym nad pustką“; z przestrachem obserwował skutki a n o r m a l n y c h warunków swego bytu, rozkładający wpływ n i e w o l i, zżymał się na hańbę ucisku. O módz żyć, jak inni żyją! I znowu słowami Wyspiańskiego, który wziął w swą duszę tęsknoty całego pokolenia, rzesza w „Kazimierzu Wielkim“ modli się o wskrzeszenie swego króla:

...Bądź wskrzeszon,
Bo nam już braknie tchu żyć, bo już mrzemy!
Wskrześnij! Abych twój naród był pocieszon —
Oto w rozpaczy żalach szaty rwiemy!
Jako ów Chrystus był na krzyż zawieszon,
Tak my nad pustką zawiśli, łakniemy
K r ó l a!...

Od stu lat ten strumień tęsknoty ognistą falą płynie przez wszystkie dusze polskie i płynąć będzie, aż wybije godzina wyzwolenia. Od Mickiewicza po Wyspiańskiego wszyscy poeci rzucali słowa buntu *in tyrannos,* przeklinali dolę „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu“. A w roku Pańskim 1916 Kazimierz Tetmajer [1]) w takich oktawach tonem Słowackiego kre-

[1]) „Cienie“, Kraków 1916. — „Achilleis“.

śli nastrój ducha współczesnego pokolenia w przeddzień wybuchu wojny:

„Widziałem Życie — lecz ono odległe
gnało odemnie, znaczonemu nocy —
i myśli moje, jak konie rozbiegłe,
jeden trzask bicza spędzał do bezmocy —
wstyd mnie pożerał — moją własną cegłę
kładłem, budując cudzym do pomocy
piersiom warownie i wznosząc budowę,
z której mróz padał na pierś, noc na głowę.

Jak Dant przez piekło kroczyłem za życia —
a tem okropniej, że czułem rąk siłę —
lecz w sercu wszczęły mi się pleśne gnicia —
i żyjąc — czułem pod sobą mogiłę — —
i te cmentarne, przytłumione wycia — —
i te wyziewy wnętrzne, trupie, zgniłe
i to poznanie nikczemne, padalcze:
że nie o życie ja — — lecz z śmiercią walczę!

Nie życia sięgam — lecz się śmierci bronię,
paryas, wyzuty poza prawo ludzi,
któremu matka, kołysząca w łonie,
już ducha modły błagalnemi studzi,
któremi pierwszy raz składają dłonie
nie do radości, lecz się matka trudzi
wyuczyć usta niemowlęce: prośbą —
a pierwszy duszy dech — jest oddech groźbą.

Ona to jako tęcza nad kołyską
od krańca w kraniec łuk ogromny włóczy,
wisi jak tęcza, siedmiu barw siedlisko,
któremi oko barw świata się uczy —
w błękit daleki wpięta — oczu blisko,
jasna jak piorun migocący w tuczy,
złowieszcza, jako zarazy powienie —
Groźba — polskiego dziecka pierwsze tchnienie.

O ziemio, któraś znała tę udrękę
nawskroś do gruntu — i wiek nie oczyści

ścian, w których życiem nazywano mękę —
naw, gdzie modlitwą był żar nienawiści — —
jedyną: ujścia — Bóg zbierał podziękę,
nad zemstę większej nie znano korzyści,
gdzie nikt nie słyszał nigdy, przez wiek życia,
we własnych swoich piersiach serca bicia,

Serc prawdziwego dźwięku!...

Tak czuły dusze wrażliwe, duszące się w atmosferze niewoli i buntujące się — nieraz w szalonych porywach.

Pragnienie państwowości polskiej, owładające umysłami, szukało fundamentu w kulcie żołnierza jako strażnika i wskrzesiciela suwerennego bytu narodowego. Poczęto rozpamiętywać dzieje bojów polskich. Garstki radykalnej, zapalnej młodzieży skupiały się w organizacyach strzeleckich, zrazu tajnych, potem tolerowanych, a nawet czasu kilkakrotnych alarmów wojennych po cichu popieranych, które jednak wiodły swój żywot poza kątem widzenia i sympatyi szerszych sfer społeczeństwa.

Pod wpływem wspomnień konspiracyjno-bojowych roku 1905 u działaczy zdeterminowanych i fantazyą unoszonych przejawiała się obok pogardy dla „gnuśności" społeczeństwa coraz niecierpliwsza żądza „czynu", któryby przecie uczynił jakikolwiek wyłom w murach więziennych, ochota zaryzykowania wszystkiem... Lepsze szaleństwo niż to życie gnuśne i skrępowane...

* * *

I oto nagle w to pokolenie gromem uderzyła wieść o wojnie. Uderzyła w chwili, gdy po fałszywych alarmach w roku 1908 (aneksya Bośni) i w roku 1912 (wojna Bałkańska) ogół przestał się już niepokoić widmem kataklizmu światowego i wzburzone fale opinii ułożyły się do poziomu.

Wojna przyszła niespodzianie, jak na wstępie zaznaczyliśmy, zaskoczyła społeczeństwo, które, zajęte ciężką walką o byt narodowy i rozczłonkowane, nie wiele się interesowało problematami światowej polityki i jej zagadnień nie przemyślało.

Pod wpływem odwiecznych tęsknot i najświętszych pragnień, rozpłomienione tradycyą ofiarności narodowej, upojone poezyą romantycznej sławy — społeczeństwo nasze, wsłuchane w echa palby działowej pod Belgradem, wyobrażało sobie, że wojna toczy się

w pierwszym rzędzie o polską sprawę, tembardziej, że teatrem jej będą nieuchronnie ziemie polskie. Któż nie pamięta ostatnich dni lipca 1914 roku, gdy wybuch wojny światowej nie ulegał wątpliwości? Kraków drżał i płonął. „Będzie wojna z Moskalami, w Polsce wielkie święto!“ Za odwieczne krzywdy, za barbarzyński ucisk, za nietylko brutalnością, ale i głupotą podłe gnębienie praw narodowych przyjdzie nam nareszcie zażądać rachunku, wziąć odwet, wywalczyć lepszą przyszłość, urzeczywistnić państwotwórcze dążenia, nie wygasłe w sercu Polaka!

Powtarzaliśmy, że wojna wysunęła znów sprawę polską na widownię dziejową jako problem międzynarodowy, który musi być teraz rozwiązany. Wobec tego problematu malały w naszych oczach inne problematy wojny, która jest w swej istocie walką na śmierć i życie między imperyalizmem niemieckim a imperyalizmem angielskim i rosyjskim. My widzieliśmy jeno sprawę polską.

Wojna potęgą swoich gromów, głębią swoich perspektyw — porwała, oszołomiła, upoiła umysły, nastrojone romantycznie.

Z zupełną szczerością przyznał to np. Piłsudski. Na bankiecie, urządzonym w Wiedniu 23. grudnia 1914 roku na cześć bawiącego wówczas chwilowo w tem mieście komendanta Legionu, po toaście p. Jaworskiego przemówił Piłsudski w te słowa:

> „Bolało mnie już od dawna, że w społeczeństwie nie było szerokiego rozmachu, gniotła mnie małość życia i aspiracyi, wynik niewoli. Być może, jestem romantykiem, być może, że dlatego, że nigdy nie byłem zwolennikiem pracy organicznej, wszedłem w tę wojnę. Ale porwało mnie w niej coś wielkiego i to, że otworzyła się możność czynu polskiego“ [1]).

Dla organizacyi strzeleckich wybiła wielka godzina. Niepodobna „pozwolić, by w czasie, gdy na żywem ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczem nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przytem brakowało... by na szalach losów, ważących się nad naszemi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło szabli polskiej... Trzeba czynem wojennym budziś Polskę do zmartwychpowstania“... [2]).

---

[1]) „Legiony polskie 16. sierpnia 1914 do 16. sierpnia 1915“. Dokumenty. Piotrków w sierpniu 1915. Nakładem Departamentu Wolskowego N. K, N.

[2]) „Legiony polskie“. Dokumenty. Piotrków 1915. Str. 112.

Powyższemi słowy przemawia Piłsudski w „rozkazie dziennym“ w rocznicę wkroczenia oddziałów strzeleckich do Królestwa, wydanym w Ożarowie 5. sierpnia 1915 roku. Wolność trzeba zdobyć własną siłą — oto aksyomat, który głosili aktywiści.

W Krakowie zwłaszcza, gdzie skupili się działacze, gdzie „począł się ten cud, że jakgdyby z pod ziemi wyrosły Związki strzeleckie“ (słowa odezwy „Komitetu Obywatelskiego Polskiego Skarbu Wojskowego“ w dniu 8. sierpnia 1914 roku) — ożywa tradycya i ideologia 1863 roku. Jest jeden front: front przeciw Rosyi. Między Rosyą a nami jest przepaść nieprzebyta wiekuista, którą tworzą przeciwieństwo kultur, historya, tradycya powstań, pamięć krzywd i ucisku. Ulicami miasta przeciągają oddziałki przybyłych z prowincyi młodzieńców, dzieci nieraz, po części już w rynsztunku wojennym. I czyż nie jest znamienne, że hymnem dzisiejszych strzelców stała się pieśń Anczyca z 1863 roku: „Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały!“

Zmartwychpowstał żołnierz polski, nowy partyzant, młody powstaniec. Czy spełni wielkie dzieło? Ha, w każdym razie będzie obrońcą „honoru“ Ojczyzny. Honor narodowy każe stanąć do boju... Wzorem Napoleona działacze wołają: „Obaczymy, czy Polacy godni są być narodem“. Trzeba spełnić ofiarę w imię honoru. W cytowanym powyżej rozkazie z Ożarowa woła Piłsudski do swych żołnierzy: „Poszliście, by stanąć w obronie jeźli nie szczęścia Ojczyzny, to przynajmniej jej honoru“. Przebija z tych słów rycerskiej fanfary znany z 1863 roku jakiś nastrój ofiarniczy, jakaś mistyka, wątpiąca, a męczeńska.

Jest żołnierz, a więc będzie i sława. „Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita: zawsze drzewo wolności z wawrzynów wykwita“ (Mickiewicz).

Wojna daje sposobność do sławy, a sława jest wszystkiem. Porwany, upojony potęgą wojny i nadziei, Witkiewicz, w liście do siostry z 6. lipca 1915 roku, wypowiada taki sąd historyczny:

> „Kozietulski ze swymi 120 szwoleżerami więcej zrobił dla Polski niż wszystkie fabryki, banki, młyny, założone przez Lubeckiego, koleje, budowane przez Kronenberga, niż wszyscy razem ludzie realni i trzeźwi“.

Nie troszczy się Witkiewicz o to, że mniej krytyczny czytelnik ze słów jego wysnuje wniosek, że realizm i trzeźwość, że

Lubeccy i Kronenbergowie są niepotrzebni, a bohaterska szarża 120 szwoleżerów starczy za wszystko. Rycerskie cnoty, brawura, kawalerska fantazya, gardząca śmiercią, któremi żołnierz polski się odznacza, zniewalają poetę do podziwu, ale politykowi wolno chyba zadać pytanie, czy szarża szwoleżerów w obcej służbie przyniosła nam realny i jaki pożytek? Ale o tem nie można dyskutować z pisarzem, który w ferworze romantycznym pisze: „Sława jest najrealniejszym skarbem narodu, jest źródłem siły, która jest milion razy więcej warta od parszywej obiecanej autonomii i samorządów, kierowanych przez policyę, i innych realnych zdobyczy".

Na takie wywody romantycznej jednostronności chciałoby się rzucić w odpowiedzi wielkie „a kysz" Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu":

»Poezyo, precz! jesteś tyranem!"

Ale i praktyczni politycy przemawiają jak poeci i apelują do legendy. P. Jaworski, zastrzegając się, że „w tem wszystkiem, co mówi, niema krzty przesady oratorskiej, niema krzty patosu" („Czas" z 6. sierpnia 1915 roku), żegnając oddział Legionistów, rzekł: „Pomyślcie: dźwigacie na swoich barkach Polskę. Zrozumcie, jaki to zaszczyt, ale i jaka odpowiedzialność. Zapewne. Wobec wielomilionowej armii jesteście skromną garstką, ale rozmnaża Was legenda. Jesteście oddechem narodu, bo jesteście dowodem, że naród żyje"...

Być może, że p. Jaworski powinien był raczej powiedzieć: jesteście jednym z dowodów, że naród żyje. Ale mniejsza o to. Podkreślamy tylko znamienny szczegół, że praktyczny polityk posługuje się jako atutem poetyczną legendą.

Legenda, pragnienie sławy, głos „honoru narodowego", nadzieja, animusz bojowy, żołnierska fantazya niefrasobliwa i ryzykująca — działały pobudzająco na społeczeństwo w Galicyi. Piłsudski na czele swej drużyny, częściowo w Werndle zbrojnej, oświadcza, że rozpoczyna wojnę. („Żołnierze! Rok temu z garścią małą ludzi źle uzbrojonych i źle wyposażonych rozpocząłem wojnę" — oto początek cytowanego rozkazu dziennego z Ożarowa z 5. sierpnia 1915 roku). Kto nie z nim, ten zdrajca, któremu dyktator grozi karą.

Ale społeczeństwo w Królestwie w przeważnej części, ale całe społeczeństwo w Poznańskiem — zajmuje stanowisko wyczeku-

jące. Nie pora i miejsce tu rozstrząsać, dlaczego tak było. Stwierdzamy fakt.

Stąd uczucie zawodu, żalu, stąd słowa oburzenia i potępienia. Czyżby zanikł instynkt państwowości? czyżby naród zgnuśniał w niewoli i tak znikczemniał i skarlał w okowach, że potrafi tylko sadzić kartofle, a wznieść się nie zdoła do wysokości chwili dziejowej, nie rozumie znaczenia przełomowego momentu? Sieroszewski, który z taką fantazyą nosił czako Beliniaków na siwej czuprynie, pisze w monografii swej p. t. „Józef Piłsudski" z żalem i oburzeniem:

> „Polska, zamiast żeby zepchnąć przez powstanie plac boju ze swego terytoryum na ziemie rosyjskie, skazywała się swą biernością na doskonały teren dla walk najeźdców" [1])...

Zapewne Sieroszewskiemu znany jest los Kalisza, oraz Louvain i dwudziestu innych miast belgijskich? Mimo to jemu się zdaje, że kilka tysięcy powstańczych karabinów, a bodaj dubeltówek i rewolwerów „zepchnęłoby plac boju" milionowych armii...

Gromy wojny huczały coraz głośniej. Spełniało się przeznaczenie, ważyły się losy Europy. Stary świat walił się w gruzy...

Tragedya porozbiorowej Polski znowu krwawem rozsnuwała się pasmem wydarzeń. Z trzech dzielnic Polski w trzech armiach regularnych stanęły setki tysięcy Polaków naprzeciw siebie. Spieszyli w bój ochotnicy...

„Amarantem, hej, na trzy sztandary
Bryzgasz, polska, bujna, wrząca krwi"...
(Czesław Jankowski „Polska Krew").

Poezya do wtóru gromom wojny brzmi hasłami bojowemi, zamyka w rymach poetycki wykład ideologii wojennego czynu, uderza w struny nadziei i wiary — to znów żali się, polemizuje i gromi. Polityczny rozłam narodu znajduje wierny wyraz w liryce dwu lat ubiegłych.

---

[1]) Wacław Sieroszewski: „Józef Piłsudski". Piotrków 1915. Nakładem Departamentu Wojskowego N. K. N., str. 55 a.

Jan Zabiełło.

(Dokończenie nastąpi.)

„Ojcze Nasz“ Cieszkowskiego.

V. Poglądy na czas, na Boga i na przeszłość ludzkości.

(Ciąg dalszy.)

Historyozofia Cieszkowskiego wybiega daleko w przyszłość, ale nie sięga w zaświat, co się tłómaczy jego poglądami na czas.

Pojęcie czasu jest dla Cieszkowskiego pojęciem zupełnie jednolitem, jednoczącem w sobie pojęcie doczesności z pojęciem wieczności; albo inaczej: doczesność w jego oczach nie jest bynajmniej czemś różnem od wieczności; upatrywanie jakiejś pod tym względem zasadniczej różnicy poczytuje za jeden z największych i najszkodliwszych błędów, jakie popełniła teologia. Jego zdaniem „doczesność ma się do wieczności, jak się ma część do całości“; „wieczność jest tylko pasmem różnych między sobą doczesności, które ją tak właśnie składają, jak pojedyncze ogniwa składają całkowity łańcuch“ [1]).

W najściślejszym związku z nieuznawaniem przeciwieństwa pomiędzy doczesnością a wiecznością nie uznaje także Cieszkowski w życiu ludzkości żadnego przeciwieństwa pomiędzy światem a zaświatem, pomiędzy „tym“ a „tamtym“ światem. Jak czas jest jeden, tak i świat jest jeden; ani nieba, ani piekła, ani czyśca niema w tem znaczeniu, jak je pojmuje teologia: są to tylko stany, przez które przechodzi ludzkość i z których każdy wcześniejszy jest niższy od późniejszego; piekło to stan ludzkości, który już przebyła, stan już przezwyciężony czyli potępiony; czyściec to stan teraźniejszy, a niebo — przyszły, do którego ludzkość dopiero dąży. „Królestwo Boże“ nie jest z tamtego świata,

---

[1]) I, 287.

ono jest, a raczej będzie na tym świecie; zbudują je ludzie i dlatego to Chrystus kazał się im modlić w słowach: „Przyjdź Królestwo Twoje“ [1]); nie kazałby im się o nie modlić, gdyby go oni zbudować nie mogli; budują je wszyscy ludzie, i wszyscy ludzie będą jego uczestnikami; ludzie bowiem, choć umierają, ale się wciąż odradzają, są nieśmiertelni, — i to nie tylko jako gatunek, ale jako jednostki indywidualne. Bo w metempsychozę, czyli raczej w reinkarnacyę, wierzył Cieszkowski podobnie, jak Towiański, Słowacki, Krasiński, Wyspiański; nie wierzył natomiast i nie uznawał żadnej konieczności wierzenia, żeby się mieszkańcy ziemi mieli przenosić na inne planety: „Duchy... osobiste, już z natury swojej, jako Duch, nieśmiertelnością obdarzone, nie potrzebują wcale opuszczać planety, aby postępować na inne, a coraz wyższe światy, ponieważ ich kolejno na swoim własnym dostępują, — a to ogólnie i przedmiotowo... przez spełnienie się wieków,... pojedyńczo zaś i osobiście przez indywidualne odrodzenie“ [2]). Nietylko zresztą na ziemi, ale i na innych planetach, w całym wszechświecie — wierzył Cieszkowski — odbywa się budowa Królestwa Bożego, a w tej wielkiej pracy wszechświatowej są także kolejne stopnie, jak na każdej poszczególnej planecie: „Każdy świat planetarny, na niższym szczeblu postępu znajdujący się, wstępuje kolejno w stan ducha, jaki ustąpiony mu został przez wyższy jaki świat, który natomiast sam w sobie na wyższy szczebel stanu ducha znowu postępuje“ [3]). To znaczy: ludzie, kiedy na swej planecie zbudują Królestwo Boże, tak jak je pojmowali, wytkną sobie nowe cele, jeszcze wyższe: „Nowy objaw myśli nowe zadanie czynu otworzy i wprowadzi nas w świadomość i uczestnictwo rzeczy absolutnie ostatecznych, t. j. pozahistorycznych i pankosmicznych, otwierając nam zarazem nowy i wyższy zakres wiecznego żywota“ [4]), póki wreszcie nie dojdzie „aż do absolutnego połączenia i zjednoczenia duchów wszystkich światów, już nie tylko bytem, — bo to jest i było od początku, ale też myślą i czynem — świadomo i wolnie w Bogu“ [5]). Lecz tych zagadnień — „o rzeczach abso-

[1]) I, 309.
[2]) I, 315.
[3]) I, 316.
[4]) I, 317.
[5]) I, 316.

lutnie ostatecznych, pozaludzkich, pozaplanetarnych" — Cieszkowski jedynie dotyka, ze względu, że, jak mówi, „tej... ostatecznej nauki jeszcze nie wybiła godzina" [1]); szczegółowo zato zastanawia się nad istotą Boga i Jego stosunkiem do świata.

Bóg to „absolutny Duch": „oto jest istotna i odpowiednia definicya Boga; wyższej nad to definicyi po ludzku dać nie możemy, ona sama już jest absolutną, bo obejmuje wszystko w najwyższym stopniu i najpełniejszej jedni" [2]). Ten Duch absolutny, który jest „pojęciem i materyą razem, w żywotnej jedni, istotą zmysłowo-umysłową, bytem myślącym i wcielloną myślą" [3]), który jest „Twórcą samego siebie, a Stwórcą i władcą wszechświata" [4]), — jest zarazem Duchem świętym, t. j. najwyższym, najwielebniejszym i najdoskonalszym, obejmującym w sobie całą rzeczywistość piękności, prawdy i dobra; a jako obejmujący całą rzeczywistość dobra, jest *eo ipso* miłością, co bardzo szczegółowo wykazuje Cieszkowski w drugim tomie swego dzieła.

A jakiż jest stosunek Boga do świata? Czy Bóg ma interwencyę w jego sprawach? Deizm jej nie uznawał: Cieszkowski zastrzega się bardzo wyraźnie przeciwko deizmowi, nazywając go obrazowo „wodnistą pianką, szeroko przez dwa upłynione wieki ubitą i rozbitą, której wszakże co chwila pękająca bańka co chwila też wewnętrzną próżnię zdradzała" [5]). Lecz nie mniej wyraźnie zastrzega się przeciwko panteizmowi, który, jego zdaniem, „ubliża Bogu" i nie pozwala Go człowiekowi „uwielbiać" [6]); nauka, że „wszystko jest Bogiem", zawiera w sobie fałsz; w rzeczywistości „wszystko owszem do Boga należy i od Niego zależy", nie tylko się „do Niego odnosi, jako do Pana swego, ale też od Niego pochodzi, jako od Ojca swego, słowem... znajduje się w Jego dziedzictwie, w posiadaniu materyalnem i moralnem, jako w objęciu Ducha swego;... wszechświat jest więc tego Ducha tylko własnością i objawem" [7]). Innemi słowy, wszechświat

---

[1]) I, 317.
[2]) III, 48.
[3]) III, 50.
[4]) III, 63.
[5]) III, 272,
[6]) II, 408.
[7]) Tamże.

nie jest Bogiem, jest tylko „Bożem ciałem“, „realno-panteistycznym momentem Boga“ [1]); „wszechświat należy tylko do Boga, ale nie jest Nim samym, równie jak ciało nasze do nas należy, ale nie stanowi naszego ja“ [2]). Bóg, jako Duch najwyższy, musi być syntezą, — i jest też syntezą absolutnego bytu, który jest Jego ciałem, i absolutnej myśli, która jest Jego duszą; Bóg jest „społecznością ciała i duszy, społecznością Ducha Świętego“ [3]). Ten swój pogląd na Boga nazywa Cieszkowski monopanteizmem [4]). Jako Duch absolutny, Bóg stawać się nie może: Bóg jest, był i będzie zawsze jeden i ten sam, objawia się tylko coraz inaczej, coraz inną stroną swoich trzech osób: Ojca (bytu), Syna (myśli) i Ducha (czynu). To objawienie w stosunku do ludzkości nazywa się jej historyą. Pozatem objawieniem, pozatem wielkim cudem, innych cudów nie uznaje Cieszkowski w historyi: ona cała jest jedną wielką interwencyą Boga, więc jak może być jeszcze inna interwencya?

Jako objawienie boże, „cała... historya jest objawieniem *explicite* Trójcy Świętej“, rozwija się więc „w imię Ojca i Syna i Ducha“ [5]), czyli inaczej dzieli się na trzy wielkie epoki. Pierwsza (teza) to epoka Ojca czyli bytu, epoka, w której człowiek był, ale nie miał należytej świadomości swego bytu; druga (antyteza) to epoka Syna czyli myśli, epoka, w której człowiek doszedł do należytej świadomości swego bytu; trzecia (synteza) to epoka Ducha czyli czynu, epoka, w której człowiek, osiągnąwszy już pełną świadomość swego bytu i jego celów, osiągnie je zapomocą świadomego i wolnego czynu. Epokę pierwszą cechowało „przeczucie z przewagą zmysłowości“, drugą — „pojęcie z przewagą umysłowości“, trzecią cechować będzie „czynne dokonanie w harmonii zmysłu i umysłu przez działającą wolę“ [6]).

Epoka pierwsza, od najdawniejszych czasów aż do Jezusa Chrystusa, obejmująca dzieje Wschodu starożytnego, Grecyi i Rzymu, jest „okresem życia rodu ludzkiego w stanie natury“, w stanie „przyrodzonych stosunków, przeradzających się i wyradzają-

[1]) II, 191.
[2]) II, 192.
[3]) III, 190—191.
[4]) III, 193.
[5]) III, 129.
[6]) IV, 11—12.

cych z siebie wedle naturalnego trybu“ [1]). Właściwy tej epoce n a t u r a l i z m objawia się w życiu religijnem, jako p a n t e i z m, a w życiu społecznem i politycznem, jako d e s p o t y z m.

Lecz wszechwładnie panuje ten naturalizm jedynie u narodów wschodnich. W Grecyi już się zmienia: panteizm mianowicie ustępuje miejsca politeizmowi, — zaczyna się indywidualizacya bogów; despotyzm zaś ustępuje miejsca republikanizmowi, — zaczyna się indywidualizacya państw i społeczeństw. Prawdziwej jednak wolności i Grecya nie wytworzyła: nie znali jej ani bogowie, podlegli mocy fatum, ani tem więcej ludzie, których większa część jęczała w niewolnictwie. W świecie myśli Grecya rzuciła wielkie hasło: „Poznaj samego siebie“, t. j. hasło samouświadomienia, ale go w pełni nie zrealizowała. I wogóle, zdaniem Cieszkowskiego, „całe życie greckie, aczkolwiek już nader uduchowione w porównaniu z oryentalnem, jest przecież jeszcze instynktowem życiem samegoż Ducha w n a t u r z e“ [2]). Co do Rzymu, ten w zakresie życia politycznego i społecznego dokonał jeszcze większego postępu: jego cała historya wewnętrzna „niczem innem nie jest, jedno wielkim dramatem stopniowego podnoszenia się ludu i wykształcania indywidualnych praw w społeczeństwie“ [3]). Ten jednak proces indywidualizacyi odbywał się w kierunku fałszywym, prowadził bowiem do wolności źle pojętej, jedynie zewnętrznej, mającej za hasło *carpe diem*, przez co w konsekwencyi doprowadził do „zupełnego indywidualizmu prywatnego“ [4]), t. j. do zupełnego egoizmu jednostek i, co za tem poszło, do zupełnej decentralizacyi społeczeństwa. Indywidualizacya zaś życia religijnego doszła wreszcie do zupełnego ateizmu.

Wśród tego rozprężenia świata starożytnego zaczęła się druga epoka historyi rodzaju ludzkiego, obejmująca nietylko wieki średnie, ale i późniejsze aż do ostatnich czasów (t. j. do połowy XIX wieku). Błądzą, mówi Cieszkowski, ci, którzy myślą, że się już od trzech wieków zaczęła nowa epoka, bo te trzy stulecia, „tak zwaną nową epokę nowożytną składające, są dopiero s t a w a n i e m s i ę o d p o w i e d n i e g o p r z e s i l e n i a, — gotowaniem się do niego, — a więc dopiero ujściem ś r e d n i c h w i e-

---

[1]) I, 59.
[2]) I, 68.
[3]) I, 70—71.
[4]) I, 73.

ków i przechodem w ostatnie wieki, ale jeszcze nie tychże rozpoczęciem“ [1]); nawet wielka rewolucya francuska, pomimo że była istotnie „stanowczem i jednoczesnem wstrząśnieniem wszelkich posad dotychczasowego świata“, nie była jeszcze „purpurową jutrzenką dnia nowego“, tylko „dopiero krwawym starego słońca zachodem“; „ta rewolucya stanowczo średnie wieki rozwiązała, ale nowych wieków jeszcze nie zawiązała“ [2]).

Tę drugą wielką epokę stworzył Jezus Chrystus: „Wszystko, co przed nim, do niego się ściąga, — wszystko, co po nim, z niego wychodzi; on więc jest przesileniem historyi“ [3]). „Chrystus stanowi... wielką średniówkę czasów, on rozgraniczył dwa światy czyli dwa wielkie dni świata; — on nowe stworzył ludów i wieków pokolenie“ [4]). Urodził się tak, jak my wszyscy: człowiekiem, — „nie byłby on, byłby kto inny“ [5]), ale stał się „najwyższym osobnikiem ludzkości“, „jej zrealizowanym ideałem“ [6]); „on nie jest tylko najdoskonalszym z ludzi, ale jest poprostu doskonałym człowiekiem“, i jako doskonały człowiek, „jako człowiek, który urzeczywistnił w sobie całe pojęcie człowieka, cały ideał człowieka zrealizował,... przestał być tylko człowiekiem, przemienił się w istotę, wyższą nad człowieka“ [7]). „W jednym tylko Chrystusie Duch Boży na ziemi objawił się nam nie pod miarą; jeden też Chrystus góruje między prorokami i żaden z nim mierzyć, ani nawet porównywać się nie może; i dlatego on jeden jest doskonałym Synem Boga, poprzedzicielem i zapowiadaczem Ducha Świętego“ [8]).

Na czemże polega objawienie Chrystusa i, co za tem idzie, istota drugiej, stworzonej przezeń, epoki? Świat starożytny stanął w swej pracy dziejowej na stworzeniu fałszywego indywidualizmu, fałszywego, bo jego dążnością było jedynie folgowanie popędom naturalnym, bo prowadził państwo i społeczeństwo do rozpadnięcia się w sobie. „Cóż mogło — pyta Cieszkowski — wyratować

[1]) I, 54.
[2]) I, 55.
[3]) I, 52.
[4]) I, 155.
[5]) III, 164.
[6]) III, 162.
[7]) III, 162—163.
[8]) III, 314.

ducha ludzkości z tego historycznego upadku i rozpadku, w jakim go przy schyłku państwa rzymkiego spostrzegamy?... Co mogło pojedyńcze duchowe istoty z absolutną Istotą, od której tak stanowczo się oddaliły, z podobnemi sobie istotami (bliźniemi) na nowo pojednać"? „Dziwną zda się odpowiedź, a przecież jest istotną: jeszcze dalsze rozpadnięcie się, ale stanowcze, ostateczne: rozpadnięcie się indywiduów już nie między sobą, ale owszem w samych sobie" [1]). Otóż tego to właśnie dzieła dokonał Chrystus, który uczył i nauczył ludzi, że ten świat, w którym żyją i dla którego żyją, nie jest jedynym, co więcej, że jest światem niższym od innego, jeszcze nie istniejącego, że ludzie powinni zerwać z tym światem, z naturą, i przerodzić się, stworzyć z siebie coś wyższego od natury, zbudować nowe życie, mające swoje źródło w Bogu, nie w naturze. A gdzie szukać tego źródła? gdzie się człowiekowi Bóg objawia? W jego własnem wnętrzu! I w ten właśnie świat wewnętrzny kazał patrzeć Chrystus, nie w zewnętrzny: „dopiero chrześcijanin poznał i uznał siebie samego, a to właśnie przez oderwanie się od tego wszystkiego, co nim samym nie było, przez zajrzenie w siebie" [2]); a kiedy zajrzał w siebie, ujrzał tam Boga. A kiedy ujrzał i poznał tam Boga, uznał siebie za Jego syna, a Boga za swego ojca i, co za tem poszło, bliźniego — za swego brata. Albo inaczej: skoro człowiek poznał w sobie człowieka, to za ludzi musiał uznać wszystkich ludzi. Oto jakiego odkrycia dokonało chrześcijaństwo. „W całej starożytności właściwych ludzi, w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu, jeszcze nie było;... byli tam obywatele i niewolnicy, byli Grecy i barbarzyńcy, ale samego człowieka tam jeszcze nie było" [3]). Człowiek mógł powstać wtedy dopiero, kiedy za istotę człowieczeństwa poczytano — jego człowieczeństwo i nic innego. Odtąd ciałem już tylko mógł być człowiek, i bywał nieraz, niewolnikiem, ale w duchu był przez Jezusa Chrystusa wolny. Był wolny i dlatego, że, kiedy dawniej, w starożytności, jego moralność miała charakter heteronomiczny, bo źródłem rozkazu moralnego były ustanowione przez innych ludzi, w imię jakiegoś praktycznego celu, prawa, nakazy, a najczęściej zakazy, to teraz, od Jezusa Chrystusa i przez niego, moralność stała się auto-

[1]) I, 81.
[2]) I, 76.
[3]) I, 78—79.

nomiczną; idea moralności z przedmiotowej stała się podmiotową. Starożytność nie znała, a przynajmniej powszechnie nie uznała „potęgi, którąby wewnętrznym popędem do nakazanego pędziła, nie zaś zewnętrznym tylko przymusem od zakazanego wstrzymywała“ [1]). Innemi słowy: starożytność znała tylko prawo, ale moralności w ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie znała. Kilku zaledwie mędrców domyślało się istnienia owej wewnętrznym popędem do nakazanego pędzącej potęgi, t. j. sumienia, które teraz dopiero stało się żywą i powszechną siłą. W ścisłym zaś związku z tym postępem moralnym za największą cnotę zaczęło uchodzić już nie tak wielbione przez starożytnych umiarkowanie, tylko „poświęcenie bez miary“ [2]), wolny bowiem człowiek nie zakreśla granic swym obowiązkom.

Że te wszystkie przewroty duchowe nie mogły, jako biegunowe antytezy dawnego świata, świata natury, obyć się bez jego potępienia, bez odwrócenia się od niego, bez pogardy względem niego, to jasne: tak, odtąd światem zewnętrznym, naturą, zaczęto pogardzać; tak, „chrześcijaństwo poniżyło i potępiło świat ziemski“. „Upadek to świata głęboki, powszechny, okropny:.., a jednak to poniżenie było wywyższeniem, a jednak to potępienie było istnem zbawieniem“ [3]). Bo „chrystusowe... zbawienie nie na tem wcale zależało, aby ród ludzki przenieść do jakiegoś stanu błogości,... ale owszem na tem, aby mu wszelką prawdę objawić i przynieść mu Słowo zbawienia, — aby go podnieść z pierwotnego natury barłogu i na własne nogi postawić, aby tu odkryć w własnym jego duchu nieznane dotąd siły, aby mu świadomość istoty swojej i przeznaczenia udzielić, a tem samem, aby mu znowu otworzyć drogę do własnej zasługi i wezwać go do przybliżonego dopiero, ale przyjść mającego Królestwa“ [4]). Lecz co pojmowano w wiekach średnich przez Królestwo Boże? Chrześcijanie pierwotni nie wątpili, że je będą oglądali tutaj, na ziemi, wierzył w to i Kościół pierwotny; później dopiero, kiedy jakoś Królestwo Boże nie przychodziło na ziemię, wiara w nie uległa w modyfikacyi [5]): zaczęto przez nie pojmować nie świat, tylko zaświat; światu wypo-

---

1) I, 128.
2) I, 130.
3) I, 112.
4) I, 115.
5) IV, 34 nn.

działo chrześcijaństwo walkę i w ten sposób spełniło swoje zadanie: Chrystus przecie nie pokój przyszedł dać ludziom, tylko miecz. Ta jednak walka ze światem, jak wszelki wogóle dualizm, nie mógł być zjawiskiem trwałem: już na progu tak zwanych nowych czasów świat zaczął się znowuż o swoje prawa upominać, do zgody jednak pomiędzy światem a zaświatem nie doszło jeszcze.

Oto w najogólniejszych zarysach pogląd Cieszkowskiego na przeszłość ludzkości. Czy oryginalny i czy zgodny z prawdą dziejową, o tem niech rozstrzygają historycy i historyozofowie. Tutaj niechaj wolno będzie wtrącić jedno tylko spostrzeżenie, — że nikt w Polsce przed Cieszkowskim nie pojął tak głęboko i nie wyjaśnił tak wspaniale istoty chrześcijaństwa i tego przewrotu, którego ono w duszach ludzkich dokonało. Ale bo też nikt u nas przed Cieszkowskim nie miał tak silnej pewności intuicyjnej, że nauka Chrystusa jest alfą i omegą życia ludzkiego, podwaliną kultury ludzkiej, i nikt nad tą prawdą tak ustawicznie nie rozmyślał. W całym jednak swoim blasku ukazuje się ta prawda w tych dopiero działach i rozdziałach, które mówią o przyszłości rodzaju ludzkiego na ziemi; tutaj dopiero uwydatnia się myśl przewodnia i zarazem najwyższa piękność moralna dzieła Ojcze Nasz, które jest przecie, raz jeszcze, nietylko traktatem historyozoficznym, ale, i to nadewszystko, utworem moralistyki, z pewnością jednym z najpiękniejszych, najszlachetniejszych w literaturze całego świata, jest pobudką i zachętą do budowy i przebudowy życia w duchu nauki Jezusa Chrystusa.

(Dokończenie nastąpi).

Ign. Chrzanowski.

Ślady kultury starego świata na Rusi Kijowskiej.

(Fakty, spostrzeżenia i uwagi.)

Stoimy wobec zagadnienia ciekawego i ważnego w tem przeświadczeniu, że go rozwiązać nie tylko nie mamy zamiaru, ale nie możemy z braku dostatecznego faktycznego i naukowo opracowanego materyału. Z tego samego powodu ścieśniliśmy zakres tematu, ograniczając go do terytoryum, które stanowiło niegdyś część Województwa Kijowskiego — przeważnie — i nosiło miejscową nazwę — Ukraina, — która i po dzień dzisiejszy utrzymała się, pomimo urzędowej nazwy — gubernii Kijowskiej. Dla tej części ziem ruskich dawnej Rzeczypospolitej polskiej, ze względu na panującą w Kijowie dynastyę Rurykowiczów, aczkolwiek nie sięgało to panowanie krańca południowego dzisiejszej gub. Kijowskiej, a przeciwnie, przekraczało Dniepr, wrzynając się klinami na północny i południowy zachód, przyjęliśmy nazwę Rusi Kijowskiej. Nazwa ta nie jest bynajmniej absolutnie usprawiedliwioną, ale historycznie zbliżoną do naszego tematu, poprzestajemy przeto na niej.

*
* *

W granicach dzisiejszej Ukrainy rozpatrzyć pragniemy drogi, któremu mógł oddziaływać wpływ kultury starego świata na terytoryum, nazwane przez nas Rusią Kijowską, a zatem na ludność zamieszkującą je. Był to przedewszystkiem wpływ:

1. starogreckiej kultury przez kolonie nad Pontem Euxińskim, a później kultury bizantyńskiej;
2. następnie kultury łacińskiej i wreszcie
3. arabskiej, a ściślej mówiąc, arabsko-wschodniej.

Wpływ ten ujawniał się nader różnostronnie: w dziedzinie sztuki (wyroby artystyczne), wojskowości (różne rodzaje broni) i w końcu w dziedzinie przemysłu domowego.

Nie mamy zamiaru bynajmniej badać charakter tego wpływu na okazach znalezionych przygodnie lub wykopanych w granicach terytoryum Rusi Kijowskiej, chcemy tylko poznać drogi, któremi ten wpływ przedzierał się w kraje, zamieszkałe już w czasie Herodota, jak się zdaje, przez różne plemiona słowiańskie, przez różnych pisarzy tylko rozmaicie nazywane.

Do pojęcia „drogi" nie możemy przywiązywać tego znaczenia, jakie dziś mamy; były to wielkie, wodne przeważnie, linie komunikacyjne, łączące dwa kraje, dwa państwa, nieraz różne narody o siedzibach do tych linii przytykających, wiodące do pewnych punktów handlowych, które się stawały lub były już ośrodkiem najczęściej zamiennego handlu.

Jednym z niedających się prawie zaprzeczyć dowodów, że do pewnej okolicy, do pewnego punktu docierał wpływ obcy; jednym z widomych faktów, jest moneta, pieniądz. Dopiero przy jego pośrednictwie, tak samo jak przy handlu zamiennym, którego charakter, co do szczegółów, usuwa się obecnie bardzo często z pod naszej kontroli, możemy poznać drogi i punkty, do których wpływ obcy sięgał. Odpowiedź na pytanie: na czem on polegał? — wykluczyliśmy zupełnie z niniejszego szkicu.

I. Geograficzne rozmieszczenie monet.

1. Monety starogreckie. Północ od morza Czarnego od tysiąca lat przed Chrystusem interesowała Greków. Najprzód poeci poczęli dziwne rzeczy opowiadać o ludach, mieszkających na północ od morza Czarnego. Znani nam tylko z nazwiska Alkeos, Alkman, Simonides i inni opowiadali o Hiperboreach, którzy i po 1000 lat żyli, a w gajach laurowych szczęśliwy żywot wiedli, Hezyod o Kimerach pisał, o ludach Psiogłowych i Piersiookich. Słowem, nie brakło fantazyi poetyckiej. Opływając dopiero brzegi morza Jońskiego, przedarłszy się przez cieśninę bizantyńską, Grecy dotarli do morza Czarnego i zaczęli lepiej poznawać ludy zamieszkujące sąsiednie krainy. Morze Pontyjskie, opływane periplem przez Milezyanów, poczęto nazywać gościnnem — Euxyńskiem. W krótkim stosunkowo czasie brzegi tego morza od Trakyi począwszy, pokryły się koloniami: Akantos, Stagyra, Lampsak, wreszcie najsłynniejsza śród nich Olbia (około 650 przed Chrystusem),

zwana także Borystenis, a dalej nad Bosforem Kimeryjskim Fanagoria i Ponticapea. Słowem, grecka kultura, szeroko rozrzuconemi koloniami, ogarnęła południowe krańce późniejszej Scytyi i Sarmacyi. Poznawano się wzajemnie. Aristeas z Prokonezu, przedarłszy się w głąb nieznanych krain na północ od Pontu, opowiadał o walkach Scytów z Arimaspami, a Scyta Anacharsis podróżował jakoby po Grecyi. Nie byli oni ani pierwszymi ani ostatnimi z Greków, a podróży takie otwierały drogi do poznawania się — dla ciekawości i pożytku. Za poetą szedł kupiec, szukając nowych stosunków z nieznanemi ludami, za kupcem podążał historyk i geograf, który te ludy opisywał.

Kolonie greckie nad Pontem były wyłącznie osadami kupieckiemi. Co one przynosiły dzikim ludom, zamieszkującym północ od Euxynu — to należy do historyi handlu i uspołecznienia. Uboga Grecya przedewszystkiem potrzebowała pożywienia. Nad Hypanisem i Borystenem zamieszkiwały wprawdzie ludy koczownicze, ale niektore z nich już się rolnictwem trudniły. Herodot (około 440 przed Chr.) zapisał poetyczną legendę o złotym pługu, który spadł z nieba na ziemię scytyjską. Żywiły się zatem Ateny za pośrednictwem rolników słowiańskich zbożem, rybą soloną, odziewali się płótnem, tkanem z lnu i konopi, hodowanych przez północnych barbarzyńców, okrywali się futrami — może bobrów, kun, lisów z ich kraju. Scytowie-rolnicy, Georgowie Herodota, zaopatrywali Ateny w pszenicę i w wizinę soloną.

Środowiskiem tego handlu była Olbia.

Jak daleko w głąb krajów scytyjskich mogli zapuszczać się koloności greccy z nad Euxinu? Jakiemi drogami? Komunikacya przeważnie mogła odbywać się tylko wodą. Trzy wielkie rzeki wiodły w głąb Scytyi: Dniepr (Borystenes), Boh (Hypanis) i Dniestr (Tyras). Ściśle rzecz biorąc, w dziedziny późniejszej Rusi Kijowskiej wiodła tylko jedna rzeka — Dniepr i jej prawobrzeżne dopływy. Boh dotykał tylko lewym brzegiem na bardzo małej przestrzeni, a Dniestr wiódł razem z Bohem w głąb późniejszego Podola. Że w kierunku północnej drogi Dnieprowej odbywał się żwawy handel Greków z ludami, środkowy basen tej rzeki zamieszkującemi, to nie ulega wątpliwości: świadczą o tem najlepiej wykopaliska z mogił i znaleziska. Im dalej na północ, w kierunku biegu Dniepru, tem ślady handlu greckiego są słabsze. Za najdalszy punkt północny, bez wielkiego błędu, można przyjąć

Kijów. Przez sześć wieków prawie Olbia była znaną na pobrzeżu Euxyńskiem. Skupiał się tu nie tylko handel, ale i przemysł grecki, który w potrzeby zbytku lub broń zaopatrywał barbarzyńskie plemiona. Dopiero w pierwszym wieku po Chrystusie, kiedy rozpoczęły się przesuwania się i wzajemne walki rozmaitych narodów, handel upadać począł, a niezadługo i Olbia miała paść w gruzy. Gdy sofista Bion zwiedzał Olbię za Trajana, już barbarzyńcy, tuż prawie za miastem, chwytali straże greckie.

Długowiekowy stosunek kolonii greckich z Rusią Kijowską pozostawił bardzo mało śladów. Na całym tym obszarze znaleziono jedną tylko Olbijską monetę (Machnówka); z późniejszych dwie Bosforańskie Mitrydada V. (Daszów) i Mitrydada VI. (Zbaraż nad Desną, dopływem Bohu), Ptolomeusza, bronzowe (Sieniawa), kolonialne miasta Antiochii w Pizydyi III. i IV. wieku, bronzowe (Kijów—Obołoń). Mamy wreszcie głuchą wiadomość o greckich srebrnych i bronzowych monetach, znalezionych w Kijowie (obok cerkwi t. zw. Dziesięcinnej [1]). Monety w tem miejscu znalezione,

---

[1]) Dla geograficznego rozmieszczenia monet wogóle służyła nam Mapa archeologiczna gub. Kijowskiej przez Włodz. Antonowicza wydana. Jako pierwsza próba ujęcia w całość wykopalisk i znalezisk z epoki przedhistorycznej, jakoteż historycznej pierwszego okresu, ma ona duże znaczenie oryentacyjne. W tym jej charakterze, roboty pierwszego rzutu niejako, tkwią także jej wielkie wady: niedokładność i nieścisłość.

Ś. p. Ksawery Chamiec, zdając krytyczną sprawę z tej pracy (Światowid, rocznik 1899, str. 135), przecenił jej znaczenie naukowe. Pominąwszy powoływanie się autora Mapy na urzędy gminne i ich doniesienia, często mylne co do klasyfikacyi mogił, — zresztą dokładności z tej strony trudno byłoby nawet wymagać, — ale wiek monet nie jest oznaczony niekiedy tam nawet, gdzie autor, jako profesor uniwersytetu, miał nie tylko katalogi, ale i muzea do dyspozycyi. Pod tym względem Mapa wymaga dużo uzupełnień. Dodać należy, że Antonowicz, powołując liczne bardzo źródła, z których korzystał do ułożenia mapy swojej, pominął Michała Grabowskiego dzieło p. t. Ukraina dawna i teraźniejsza, tom I. (więcej nie wyszło), chociaż z dzieła tego obficie korzystał. Dla poznania geograficznego rozmieszczenia monet służy także praca N. Bielaszerskij'ego p. t. Monietnyja kłady Kijowskoj gubernii. Kijew 1889.

Dla bliższej informacyi, co do starożytności średniego i dolnego Dniepru, służyć mogą: Laskoronskij: Nachodki rimskich moniet w obłasti sred. Pridnieprowja (Trudy XI. arch. zjezda. Kijew 1899 T. I.); Kijew. Starina. 1891. Grudzień; Samokwasow: O proischożdenii rus. i pol. Sławian i priczinie pojawl. kładow rimskich moniet (Trudy VIII. arch. zjezda 1890. T. III. 1897). Katalogi monet w muzeach, jakoteż wiele najnowszych poszukiwań nie było dostępnych autorowi tego szkicu.

a sklasyfikowane jako „greckie", odnoszą się zapewne do czasu budowy cerkwi, a zatem około X. wieku. Mogą to być monety bizantyńskie.

2. M o n e t y b i z a n t y ń s k i e. Znaleziska monet bizantyńskich skupiają się najliczniej w Kijowie i obejmują stosunkowo niewielki okres czasu, mianowicie wiek X. i XI. Poza te granice sięgają rzadko. Znaleziono tu złoty solid Konstantyna i Romana II. (948—959 koło Soboru św. Zofii); drugi złoty solid Konstantyna XI. i Bazylego II. (975—1025, znaleziono na t. zw. placu Besarabskim — Besarabka); srebrną monetę Aleksego Komnena (1081—1118, Kijów, Troickij pereułok); złotą monetę Cesarzowej Eudoksyi (Kijów: Kożemiaki, ul. Wwedeńska); dziesięć miedzianych monet Joana Cymischego (Kijów: Padół, ul. Spaska). Wreszcie na Kudrawcu (Kijów) znaleziono „kilka bizantyńskich monet" — bez bliższego określenia. Poza Kijowem monety bizantyńskie znaleziono: koło monasteru Motroneńskiego Justyniana I. i w Pawołoczy (nad Rastawicą, basen Rosi) Joana Cymischego. W Trypolu, nad Dnieprem, znaleziono monety Chersonesu.

3. M o n e t y r z y m s k i e. Ślady stykania się łacińskiej kultury ze światem barbarzyńskim, skupionym niegdyś w późniejszych granicach Rusi Kijowskiej, sięgały o wiele głębiej i szerzej we wnętrze tej krainy niż greckie. Oczywiście szły one od południa, względnie od tego pobrzeża Pontu, gdzie gęsto rozsiadały się niegdyś kolonie Milezyanów, zniszczone doszczętnie prawie ręką rozmaitych ludów, bądź włóczących się po stepach, bądź wędrujących przez stepy w głąb państwa rzymskiego. Jak te drogi i ślady rozgałęziały się w basenie dolnego Dniepru, Bohu, a poniekąd i Dniestru, pozostawiamy odpowiedź na to pytanie innym, to tylko mimochodem zauważyć należy, że zapoznawanie się Rzymian ze Scytyą wogóle szło dwoma prądami. Walcząc wiek przeszło z narodami Illiryjskimi i Trackimi, osiadłymi między Adryą a Euxinem, nie tylko dochodzili do niższego basenu Dunaju, ale, walcząc w tym basenie z Berebistą, w bliższy kontakt wchodzili ze Scytami różnych nazw, a może i w głąb ich kraju zapędzali się, idąc z początku pobrzeżem euxyńskiem, śladem starych Greków. Bliższe niewątpliwie zetknięcie się nastąpiło skutkiem wojen Rzymian z Mitrydadem. Rzecz bardzo prawdopodobna, że dopiero te wojny przerąbały drogę Rzymowi w głąb Scytyi. Mitrydad już był zdobył część Scytyi od Hylas wokół wzdłuż Pontu. Zatem zapozna-

wanie się ze Scytyą odbywało się zarówno od strony Dunaju i Pontu jak i dzisiejszego Krymu.

Ciekawość geograficzna już wcześniej zwracała się ku blizkiemu wschodowi, leżącem także od Karpat ku Dunajowi i była poniekąd następstwem odrodzenia się nauki Geografii za Augusta, który i sam ślad tej ciekawości zostawił po sobie, opisując w trzech księgach państwo Rzymskie. Ale dopiero po panowaniu Tyberyusza, Kaliguli, Klaudyusza, Nerona, Galby — cesarzy, jakbyśmy dziś powiedzieli, psychopatów, żywszy ruch w kierunku nawiązania stosunków z krajem, leżącym nad Taśminą aż do środkowej i dolnej Prypeci, rozpoczął się od Trajana (r. 106) i trwał przez dwa wieki z dużem ożywieniem aż do Commoda. Grecy zadowalniali się pobrzeżem Pontu i okolicami przyległemi, rzadko w głąb kraju zapuszczając się, Rzymianie poszli dalej i szerzej. Trajan, zwyciężywszy Daków i Partów, aż za Tyger orły italskie wysyłał i z potęgą państwa rzymskiego chwałę swoją związał, a imię jego nie bez słuszności pozostało w podaniach ludowych Kijowszczyzny aż do doby dzisiejszej. Mniej szczęśliwy Hadryan zastał już drogę w głąb Kijowskiej Rusi otwartą, ale za Antoninów stosunki z nią stały się bardzo ożywione. Monety Trajana znajdujemy w Mazepińcach na dopływie Rosi, w Koszowatej, w Daszowie nad Sobem, „kilka“ w Hołowkówce nad dolnym Taśminem; Antonina (138—161) w Borszczajówce, między Irpieniem a Stuhną, w Mazepińcach, znaleziona w mogile, w Tetyjowie nad Rośką, przy wpadnięciu jej do Rosi, w Kasperówce nad Rosią, w Żaszkowie w basenie Górnego Tykicza, w Berestiahach między Dnieprem a Rusawą, w Tołstem, basen Olszanki do Dniepru, w Kołodystem, basen Taśminy, w Śniatynce nad Unawą do Irpienia, wreszcie w Czornobylu nad Prypecią „skarb z czasów Antoninów“ — tak określa głucho znalezisko powyższe wydawca Mapy archeologicznej. Monety cesarzowej Faustyny (140—175) znaleziono w Andrzejówce nad Zdwiżem, w Kijowie (ul. Aleksandrowska), w Sniatynce nad Unawą, wreszcie w Kozarach i Krymkach (basen Taśminy); Commoda (177—192) w Kijowie (ul. Aleksandrowska), Mołodecze nad Uzinem, Kalnik, basen Bohu, Hołowkówka nad Taśminem; Marka Aureliusza: Wasylków, dorzecze Dniepru, Kalnik, dorzecze Bugu, Szulaki Górny Tykicz, Hołowkówka nad Taśminem; Jul. Cesara (?) Jurkowce nad Sobem; Septimiusa

Sewera; Mazepińce na dopływia Rosi; Konstancyusza II. Kaniów nad Rosią; Hadryana Kozary.

Oprócz wspomnianego już „skarbu“ (kład) Antoninów, wykopanego w Czornobylu, o nieokreślonej ilości, znajdujemy także głuche wiadomości o wykopaliskach lub znaleziskach rzymkich monet: w Kijowie na Peczersku 82 monety „od Augusta do Gety“, w Machnówce nad Hniłopiatem „800 sztuk rzymskich monet“, w Kryłowie nad dolnym dopływem Taśminy „znaleziono skarb, składający się z 90 srebrnych rzymskich denarów“; w Wielkich Birkach nad górnym Taśminem „znajdują monety rzymskich Cesarzów“, w Korsuniu nad Rosią „znaleziono różnemi czasy około 200 sztuk rzymskich monet“. Oprócz tego znaleziono „konsularne“ monety pod Białą Cerkwią.

Na Rusi Kijowskiej zatem, objętej granicami dzisiejszej gubernii, znaleziono i oznaczono monet Antoninów 10, Commoda 4, Faustyny 5, Marka Aureliusza 4, Trajana 4, Hadryana 2, Sewera 1, Juliusza Cesara (?) 1, Konstancyusza 1, czyli razem oznaczonych dokładnie znalezisk monet rzymskich 31, nieoznaczonych co do czasu i ilości znalezisk 7 — łącznie 38 znalezisk. Jest to tylko nader mała cząstka monet, która do wiadomości publicznej doszła. Zwykle znalezione monety, bez względu na jakąkolwiekbądź przynależność państwową, padały ofiarą ciemnoty lub chciwości szczęśliwych znalazców. Stwierdzić tylko możemy, że znajdowane w obfitości monety rzymskie nad Rosią i nad Taśminem, nazywane przez ludność ruską „Iwanowy hołowki“, wędrowały wprost do karczmy do najbliższego żyda, gdzie je mieniano na gorzałkę, bądź sprzedawano w najbliższem miasteczku i pieniądze mieniano — na gorzałkę. Niekiedy rozpływały się one w tyglach prowincyonalnych złotników.

4. Monety arabskie — kufickie. Ściśle rzecz biorąc, nie może tu być mowy o stosunkach z krajem, który dziś nazywamy Arabią i na takie stosunki między Rusią Kijowską a Arabią nie natrafiamy nigdy. Były to stosunki dość krótkotrwałe z okresu pierwszych Rurykowiczów z Bagdadem, Bucharą i Samarkandem, stąd też monety, znajdowane na terytoryum bardzo niewielkiem Rusi Kijowskiej, są tylko kufickie, a znaleziska ich ograniczają się niemal wyłącznie do Kijowa. Przy budowie fortecy kijowskiej za Piotra Wielkiego (1706), którą kierował poniekąd Iwan Mazepa, znaleziono 2380 sztuk monet kufickich;

przy rozszerzaniu tejże fortecy (1851) znalezionn około 3000 dyrhemów Abasydów (771—890), Tahirydów (862—878) i Samanidów (893—906), na cmentarzu cerkwi Jordańskiej „paręset sztuk“ Tahirydów (905—933); również koło cerkwi Jordańskiej 192 sztuk dyrhemów Samanidów (895—930); koło monasteru Kiryłowskiego 200 sztuk miedzianych monet, pośród nich abasydzką Manspra, bitą w Bucharze (765), dżagatajską Mengu-chana z r. 1253; koło monasteru Nikolskiego na Peczersku, na stoku góry, wiodącej ku tak zwanej mogile Askolda, wykopano 25 srebrnych monet Abasydów i Samanidów, jakoteż na Starem mieście (również w Kijowie), t. j. w obszarze terytoryum, gdzie był gród Włodzimierza Wielkiego, wykopano także „monety“ Samanidów — zapewne w większej ilości. Poza obrębem Kijowa, zdaje się, nigdzie nie znaleziono monet „arabskich“ ściśle określonego wieku. Tylko w Olszance, w basenie Jatrani (dzisiejszy powiat Humański) w jednej z rozkopanych mogił znaleziono „szablę, strzemię tureckie i kilka arabskich monet“. Grabowski, podając te wiadomości, dodaje: „z czego wnoszą (kto?), że tam musiał być pochowany wódz Tatarów, którzy mieli sypywać na cześć swoich dowódzców wysokie mogiły, grzebiąc w nie razem wszelką do nich należącą zbroję“. Dziś już wiemy, że Tatarzy mogił nie sypali. Ponieważ nie wiemy, gdzie są „strzemię tureckie“ i „szabla“, ani też owe monety „arabskie“, niepodobna stwierdzić wieku usypania mogiły, ani też wiedzieć, do jakiego czasu odnieść monety arabskie. Wiadomo wszakże, że w Kijowie znajdowano oprócz bucharskich monety Abasydów, Samanidów i Tahirydów, możemy przeto z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, że do tego okresu odnoszą się monety, znalezione w migile pod Olszanką. Wiadomość o tem wykopalisku powtórzył Antonowicz za Funduklejem, który, jako cywilny gubernator gub. Kijowskiej, historyą, statystyką i archeologią tej miejscowości gorliwie i pożytecznie zajmował się.

Ponieważ niedaleko Olszanki w basenie Siniuchy (dopływ Bohu) znajduje się ruska Targowica, gdzie według twierdzenia Bielaszewskiego znajdowano „monety ordyńskie“ (Złotej Ordy zapewne), być może, że i Olszańskie wykopalisko do tego samego typu monet należy, chociaż i wcześniejsza data nie jest wykluczona, a nawet prawdopodobna ze względu na ożywione stosunki dalekiego Wschodu z Kijowem, tembardziej że dawność osady Targowicy sięga epoki kamienia niegładzonego. Odkryta opodal,

nad brzegiem Siniuchy, fabryka narzędzi kamiunnych i wyrobów ceramicznych zdawałaby się wskazywać na istnienie w tej miejscowości wielkiego skupienia wymiennego handlu, który mógł ściągnąć kupców ze Wschodu.

Ponieważ poza innymi względami, monety są niezawodną wskazówką stosunków handlowych, jakiemi przeto drogami dostać się mogły do Kijowa?

Monety Abbasydów i Samanidów sięgały dalekiej północy i zachodu. Zważywszy jednak, że poza obrębem Kijowa nigdzie nie znaleziono monet arabskich, nasuwa się uboczne pytanie: czy tylko drogą północną odbywał się handel z północnym zachodem, a poniekąd środkową Europą? Mimochodem przypomnieć należy, że nie tylko na pobrzeżach Bałtyckiego morza, ale w dzisiejszej środkowej Rosyi, a nawet środkowej Europie znajdowano dużo monet z Buchary, Samarkandu i Bagdadu, kufickich, z tego samego okresu co i w Kijowie (698—1010), najczęściej zaś z końca IX. wieku do połowy X. (888—955). Znajdowano je obficie i na ziemiach polskich.

Istniała zatem niezaprzeczenie drogi północna [1]). Ale nie znaleziono monet arabskich na Wołyniu i na Rusi Kijowskiej, poza Kijowem. Czyżby to miało oznaczać, że na Kijowie urywał się handel wschodni? Takby się zdawało. Jeżeli jednak zważymy, że w IX., X. i XI. wieku nie tylko w pobliżu Kijowa, bo już nad Rosią i dalej na południe ku stepom czarnomorskim siedziały koczownicze plemiona różnych nazw, ale wszystkie turko-tatarskiego typu, które przecięły dawne drogi greckie i rzymskie, łączące się z dorzeczami Teterwi, Irpienia, Rosi, Dniepra poniżej Kijowa aż do Taśminy i wreszcie z dorzeczami średniego Bohu, to nie będziemy się dziwić, że z tej strony nie było z kim prowadzić handlu. Były to plemiona rabownicze, pasterskie, które miały tylko bydło na zamianę i taki handel z Rusią prowadziły, ale trudno było woły połowieckie pędzić do Samarkandy lub Bagdadu. I o tem

---

[1]) Czytelnik interesujący się tą sprawą znajdzie w naszej literaturze poważne opracowania: Lelewel (Polska wieków średnich; Géographie du moyen âge); Sadowski: Drogi handlowe greckie i rzymskie przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna do wybrzeża morza Bałtyckiego (Pamiętnik Akademii Umiejętności, III, Kraków 1876); Ad. Szelągowski: (Najstarsze drogi z Polski na Wschód) daje literaturą odnoszącą się do tego przedmiotu w obcych językach.

pamiętać należy, że handel wschodni obejmował przedewszystkiem przedmioty zbytku: kosztowne materye jedwabne, wykwintną broń, wyroby bawełniane, drogie kamienie. Szukano więc dla sprzedaży tych przedmiotów ludności nie tylko osiadłej, ale bogatej, kochającej się w zbytku. Taka ludność skupiała się tylko w wielkich miastach, przeważnie na zachodzie. Ale skąd w Kijowie, mianomicie, znajdujemy tak obfite znaleziska monet kufickich, świadczące o stosunkach dość ożywionych? Potrącimy o to pytanie w innem miejscu, gdy wypadnie nam wyjaśnić rolę Kijowa w handlu wschodnim. Teraz należy tylko nadmienić, że Kijów znany był Arabom nieomal z pierwszą chwilą wystąpienia na arenę dziejową. Massudi (X. w.), znający doskonale rozmieszczenie różnych plemion słowiańskich nad Bałtykiem, mówi także o państwie Al-Firag (Praga), sąsiadującem ze słowiańskiem państwem Ad-dira (może Al-dira). Jeżeli zważymy, że jeszcze w IX. w. Kraków był w posiadaniu Czechów, a Dir, siedział w Kijowie (ok. 862) i „władał polską ziemią", zanim został zamordowany przez Olega (ok. 882 r.), nic dziwnego, że głośne wyprawy na Carogród pierwszych książąt ruskich znane były Massudiemu; utożsamiał więc państwo z osobą zwycięskiego Wikinga, nie troszcząc się o granice państw ani o ich rozległość. Stolicą tego Al-dira był prawdopodobnie Kijów. Zbyt on się wiąże z nazwiskiem Nestorowego Dira, ażeby można było identyfikować go z Krakowem. Kijów zatem, Ad-dira, była to znana K u t a b a, o której pisał Istakri, że jest stolicą Króla, a kupcy arabscy d o c h o d z ą t y l k o do Kutaba. Według Istakri jedno z pokoleń słowiańskich zowie się Uthania (Artania), a król mieszka w Arba (Arta), dokąd d o p ł y w a j ą kupcy arabscy tylko wodą z powodu rozbójniczego zachowania się mieszkańców przy drodze suchej. Z Arba wywozono czarne sobole (kuny?) i ołów. Zważywszy przeciwieństwo dźwiękowe wyrazów Arta, Urtani, Grwab, Churdab, możnaby z Chwolsonem sądzić, że jest tu mowa o Krakowie, tembardziej jeśli przyjmiemy, że Churdab, jako odpowiednik Chorwat, jest wymienione jako miasto zamiast nazwy kraju — co jest wcale prawdopodobne.

Czy stosunki zatem Krakowa z Kijowem — handlowe — były możliwe, obaczymy to dalej nieco.

Jakie drogi kupieckie wiodły z dalekiego Wschodu do Kijowa — tem pytaniem zajmować się wcale nie będziemy. Punktem wyjścia dla nas staje się Kijów.

Widzieliśmy poprzednio, że handel arabski z Kijowa nie mógł się szerzyć ku południowi, ale nie ma także śladów jego i ku północy, nawet na najgłówniejszej arteryi komunikacyjnej, Dnieprze, chociaż napółnocy dzisiejszej Rosyi, jak i w północno-zachodniej Europie ślady te są obfite. Niema też śladów poważnych w kierunku zachodu. Tu musimy uwzględnić poprostu sferę interesów kupieckich. Północ już była opanowana na innej drodze, przez Wołgę; tam już były stosunki wyrobione i silne. Wkraczanie w tę sferę kupiecką z Kijowa Dnieprem, już nie tylko byłoby współzawodnictwem, ale przedsięwzięciem ryzykownem, było walką handlową. Bezpieczna droga lądowa z Kijowa na zachód także nie istniała — chyba dla siły zbrojnej. Trzeba było zatem szukać innej drogi odbytu. Odkryła się ona, jak obaczymy, na Kraków, Pragę, Wrocław.

II. Skupienia i wiek znalezisk. Znaleziska monet wogóle trzeba podzielić na trzy grupy: *a)* skupione w jednym punkcie w wielkiej ilości (t. zw. skarby), *b)* rozrzucone na małej przestrzeni i *c)* znalezione przygodnie w punktach nieraz oddalonych znacznie od siebie. Jakie znaczenie dla stosunków międzynarodowych mogą mieć takie skupienia lub znaleziska? Jaki prawdziwy powód, że ta lub inna moneta znalazła się w tem lub innem miejscu? Dokładnej odpowiedzi trudno na to pytanie udzielić. Skupienia większe mogą tak dobrze pochodzić z rabunku jak i handlu, a przygodne znaleziska mogą być następstwem bądź przypadkowego zgubienia monety w jakiem miejscu lub przyniesienia jej z dalekich stron przez mieszkańca danej okolicy, Ogólnie rzecz biorąc, każda moneta jest śladem wzajemnego stosunku, jest świadectwem stykania się z miejscową ludnością obcej kultury, obcego państwa, obcego życia. W jakiej formie to się odbywało, jak ta kultura wsiąkała w miejscowe społeczeństwo, jest to już rzecza innego tematu. Oczywiście nie tylko skupienie, ale ilość znalezisk i rozmieszczenie ich na pewnym obszarze ma w tym wypadku także wielkie znaczenie, bo świadczy o natężeniu tego stosunku, a zatem wielkości wpływu.

Zacznijmy od znalezisk greckich, idąc w porządku chronologicznym. Jeżeli zważymy, że już od VII. w. (m. w. 650 przed Chr.) istniały na pobrzeżu kolonie greckie, między któremi Olbia

odznaczała się handlem z północną częścią wielkiego czarnomorskiego Niżu, to, zdawałoby się, że z tego okresu powinny być obfitsze znaleziska. Tak jednak nie jest. Widocznie stosunki starogreckie ograniczały się dolnym, a co najwyżej początkiem średniego biegu Dniepru, Bohu i Dniestru, t. j. do rzek wielkich i spławnych, które ułatwiły handel zbożowy i odpowiadały w zupełności upodobaniom Greków do stosunków wzdłuż periplu mórz. Jedyna Olbijska moneta, znaleziona w Machnówce (w basenie Hujwy, dopływ Teterwi), dokąd faktycznie nie było dostępu, chyba zbaczając z wielkiej drogi Dnieprowej na Teterew aż do źródeł, pozostaje śladem jeśli nie stosunku z koloniami nad Pontem, to wskazówką, że tu mogła być ostatnia granica tego stosunku ku północy. Znamienną jest rzeczą, że w Kijowie nie znaleziono żadnej Olbijskiej monety, wogóle żadnej kolonialnej z nad Pontu, coby może pozwalało domyślać się, że w owym czasie Kijów albo nie istniał, albo był osadą bez znaczenia dla handlu. Kolonialne monety (Pizydya) sięgają dopiero III. i IV. wieku, a znajdowane na Obołoni, miejscowości leżącej obecnie bezpośrednio nad Dnieprem, a w owym czasie tworzącej jeszcze zapewne, wspólnie z Poczajną, zatokę Dnieprową, świadczyłyby, że w tem miejscu był jakiś ruch nawodny. Być może, że bliższe zbadanie monet, znalezionych w Kijowie koło cerkwi Dziesięcinnej, da nam także inny punkt stykania się z kulturą kolonialną Greków. Wojny Rzymian z Mitrydadesem (monety znalezione na dopływie średniego Bohu) były zapewne początkiem głębszego zetknięcia się Rzymu z barbarzyńskiemi plemionami, które już coraz częściej peczęły nacierać na wschodnie miedze państwa „Rum“.

Świat bizantyński stosunkowo najpóźniej zetknął się z dzisiejszem terytoryum gub. Kijowskiej, bo już nie tylko w czasach historycznych, ale w okresie panowania Rurykowiczów w Kijowie.

Jakkolwiek według Nestora już Askold i Dir chadzali z Kijowa do Carogrodu, a późniejsi władzcy tego miasta i kraju także wypraw rabowniczych nie zaniedbywali, żadnej jednak nie znaleziono monety przed panowaniem Świętosława. Dopiero od jego wyprawy, w której sam zginął przy porohach, Kijów przez krótki czas styka się bardzo żywo z Carogrodem przeważnie. Traktaty zawarte z Rusią przez Greków, podróż Olgi, chrzest Włodzimierza, budowa cerkwi przez Włodzimierza, jak i przez syna jego

Jarosława, stykanie się wreszcie częste na drodze stosunków kościelnych, — wszystko to przyczyniało się do podtrzymywania częstych związków metropolii carogrodzkiej z Kijowem. Bezustanne i krwawe walki ze sobą późniejszych Rurykowiczów przerwały ten stosunek, który po Włodzimierzu Monomachu już się nie odnawiał.

Monet bizantyńskich w większej ilości nie znaleziono nigdzie; najczęściej i najwięcej znajdowano je w Kijowie. Jedna tylko była droga z początkowego okresu panowania książąt kijowskich z Kijowa do Bizancyum czyli Carogrodu — Dnieprem. Tą drogą chodzili poprzednicy Świętosława i on sam; do porohów płynęli łodziami, potem obchodzili porohy, ciągnąć łodzie zapewne nawłokiem, a po ominięciu porohów, wypływali na morze, skąd docierali do Dunaju i dalej. Wiemy, że między Rusią a Carogrodem istniały przed Świętosławem dorywcze stosunki handlowe, ale ożywiły się one dopiero od czasu umowy jego z Cesarzem Janem Cymichim (955). Ponieważ monety bizantyńskie wogóle znajdowano, jak się zdaje, nie w wykopaliskach (skarb, kład) ani nawet w większem skupieniu, ale pojedyńczo w różnych, nieraz oddalonych od siebie punktach Kijowa, można wnosić, że w znacznej mierze pochodziły one od żołnierzy, którzy ze Świętosławem wędrowali do Grecyi i z łupem wracali do domu. Jakkolwiek rabowali ich nad porohami Połowcy, znaczna część jednak wróciła do Kijowa. I stąd zapewne pochodzą znaleziska przygodne. Gdyby pochodziły z handlu przeważnie, znajdowanoby je w więszych skupieniach, chociaż i pojedyńcze znaleziska nie wykluczają handlu, który był przeważnie zamiennym; za materye (pawołoki), broń, wyroby ozdobnicze i artystyczne, jakoteż domowego użytku, otrzmywano futra, wosk, niewolników i inne. Poza Kijowem znaleziono monety bizantyńskie w dwóch punktach: w Trypolu nad Dnieprem, a zatem na wielkiej drodze kupieckiej i w Pawołoczy nad Rostawicą, małym dopływem Rosi, dokąd niewątpliwie moneta Jana Cymichego zawędrowała przygodnie. W jednem tylko miejscu (Kijów, Padół, ul. Spaska) znaleziono w sadybie Iwaniszyna 9 monet miedzianych. Z jakiego okrasu były monety (Kijów, Kudrawce), objęte określeniem „kilka monet bizantyńskich“, odgadnąć niepodobna. Zapewne jak większość, znalezionych w Kijowie, odnosiły się do X. lub XI. wieku.

Wogóle, według monet sądząc, najbardziej ożywione stosunki Rusi Kijowskiej z Carogrodem trwały od r. 948 do 1118

przez czas panowania książąt Świętosława, Włodzimierza Wielkiego, Jarosława i Włodzimierza Monomacha, który objął „stół“ kijowski w r. 1113.

Zważywszy, że zarówno w Kijowie jak i w wielu miejscowościac Kijowskiej gubernii znaleziono t. zw. skarby czyli wielkie wykopaliska monet, które dotychczas, z powodu niedbałości naukowej, nie zostały określone i oznaczone, być może, że śród tych skarbów znajduje się jeszcze wyjaśnienie niejednej zagadki.

Po uspokojeniu się burzy, wywołanej wędrówką ludów, przesuwających się Niżem Czarnomorskim, po doszczętnem zniszczeniu kolonii greckich nad Pontem, nastąpił okres rzymskiej kultury i handlu. I tu moneta rzymska, bita nad Tybrem, stała się pośrednikiem wpływu i kultury, niewyjaśnionym i niezbadanym jeszcze dostatecznie. Rzymianie zbliżyli się w te kraje przeważnie dla handlu zbożem, które statkami nadbrzeżną drogą wzdłuż Pontu i morza Egejskiego, okrążając Grecyę, w głąb Italii dowozili. Sądząc z geograficznego rozprzestrzenienia się monet, znajdowanych głównie w basenach rzek, które i dziś jeszcze dla płytkich łodzi są dostępne, a w owe czasy były o wiele obfitsze w wodę, przypuścić można, że temi arteryami w głąb dalekiego obszaru kraju sięgali, bynajmniej nie ograniczając się wielkiemi arteryami — Dnieprem, Bohem i Dniestrem. Czy posiadali jakieś emporya, jakieś wielkie składy w granicach późniejszej Rusi Kijowskiej? Na to pytanie twierdząco odpowiedzieć trudno, bo niezbitych dowodów i śladów takich urządzeń nie znajdowano. A jednak handel zbożem nie da się pomyśleć bez podobnego rodzaju składów, tembardziej, że musiał on mieć charakter zamienny do pewnego stopnia i nieograniczono się bynajmniej wywozem zboża. Znaleziony nad Prypecią, w Czornobylu, „skarb Antoninów“, zdawałoby się, wskazywał albo na istnienie takiego składu, albo na jakiś, jakbyśmy dziś powiedzieli, „kantor kupiecki“, o wiele prawdopodobniej można zrobić to przypuszczenie co do Machnówki, gdzie znaleziono 800 monet i co do Korsunia, gdzie znaleziono 200, tembardziej, ze to przypuszczenie da się poprzeć różnemi budowlami ziemnemi, znajdującemi się w tych miejscowościach jako horodyszcza i zamczyska. Trzecie takie wielkie skupienie monet rzymskich znajdujemy w Kijowie, na Peczersku, nad Dnieprem (80 szt.), a oprócz tego w kilku miejscach zaznaczono znaleziska rzymskich monet na dzisiejszem terytoryum Kijowa. Czwarte wielkie znale-

zisko było nad dolnym biegiem Taśminy, przy wpadnięciu do Dniepru (Kryłow szt. 90). Wogóle zaznaczyć należy, że monety rzymskie najczęściej są rozsiane na dopływach Rosi i Taśminy, t. j. w miejscowościach, gdzie i dziś jeszcze produkcya pszenicy święci swoje tryumfy.

Co do monet arabskich, zauważyliśmy już, że one wyłącznie prawie skupiły się w jednem punkcie — w Kijowie, a co do wieku poprzedziły o kilkadziesiąt lat ujawnione już stosunki bizantyńskie. Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że monety arabskie znajdowano zawsze w wielkiej ilości, a niekiedy ilości te sięgały w tysiące, to nie trudno domyślić się, że istniał tu albo wielki handel albo wielkie składy, albo wreszcie jakieś kantory kupieckie, które dla handlu lub z handlu rozporządzały wielkiemi stosunkowo sumami pieniężnemi. A jednak poza Kijowem, na całej Rusi Kijowskiej, handel arabski nie szerzył się wcale. Staraliśmy się wyrozumieć taki stan rzeczy nie tylko z charakteru handlu arabskiego, ale i ze stanu owoczesnej komunikacyi. Szelągowski w nader ciekawej swojej pracy, uderzony różnicą między brakiem wykopalisk arabskich w ziemi Kijowskiej, a wielkością skarbów, znajdowanych w Kijowie, przypuszcza, że „były to raczej łupy wojenne aniżeli ślady prawidłowej wymiany handlowej“ i „że ubóstwo wykopalisk arabskich w gubernii Kijowskiej, poza Kijowem, nie upoważnia do zbyt daleko sięgających wniosków o komunikacyi krajów naddnieprzańskich z ziemiami nadbałtyckiemi wzdłuż linii Prypeci w danym okresie czasu. Dlaczego handel arabski nie mógł się rozwijać ani wzdłuż Prypeci, ani w górę Dniepru, staraliśmy się przyczynę tego zjawiska wyrozumieć wyżej nieco, ale niepodobna zgodzić się z tem, ażeby obfite znaleziska kijowskie miały pochodzić z rabunku. Na jakiej drodze mógłby się ten rabunek dokonać? Na wielkiej arteryi komunikacyjnej — Dnieprze — między Kijowem a Nowogrodem lub odgałęzieniami wodnemi do Bałtyku nie było handlu arabskiego, przynajmniej nie odnalazły się pewne i wielkie ślady idące z Kijowa. Gdyby takie ślady monetarne istniały, możnaby przypuścić rabunki kupców arabskich, przez kijowskich Waregów dokonywane, ale nie ma na to dowodów ani faktycznych ani piśmiennych u mniej lub więcej współczesnych a licznych pisarzy arabskich. Na wschód dalej jak do Tmutarakania, i to już w XI. w. Rurykowicze nie sięgali; o wielkich wyprawach rabowniczych z Ki-

jowa nad Wołgę — główną drogę arabską na północ — nic nie wiadomo. Zdaje się, że łatwiej będzie przypuścić istnienie w Kijowie wielkich składów i kantorów handlowych arabskich, które nagle, skutkiem przerwania komunikacyi ze Wschodem przez Połowców, zaludniających stepy azowskie i czarnomorskie, pozbawione zostały łączności z ogniskami handlu na dalekim Wschodzie, a ratując życie, pieniądze zakopywano w nadziei powrotu przy poprawieniu się stosunków. Jeżeli zaś istotnie istniały w Kijowie składy towarów arabskich i kantory kupieckie, to z kim one prowadziły handel i jaką drogą? Do Kutaba-Kijowa kupcy arabscy „dochodzą tylko“, — zatem istniała droga karawanowa, która nas w danej chwili nie obchodzi, ale do Arba-Arta-Krakowa „dopływają tylko wodą“. Czy nie istniała inna jeszcze komunikacya między Krakowem a Kijowem? Istniała z pewnością, ale z niej kupcy mało korzystali z powodu rozbojów i rabunków, na jakie w drodze byli narażeni, na co pisarze arabscy uskarżają się. Droga ta była wszakże dostępną dla przemarszu wojska, bo była o wiele krótszą, a uzbrojony żołnierz nie obawiał się napadu, na co była narażona nieliczna karawana kupiecka. Tą właśnie drogą szedł Bolesław do Kijowa — na Chełm, Hrubieszów do Bugu i tu zetknął się z Jarosławem. Pokonawszy go ruszył dalej. Tą samą drogą wrócił. Jaką? Z Kijowa wiodła ona w głąb Polski. Jest to znany nam dobrze późniejszy Czarny szlack tatarski. Dochodził on w XVI. w. m. w. do dzisiejszego miasteczka Liniec, skąd prosto wiódł do Kijowa jednem ramieniem, a drugiem zwracał się w głąb Wołynia aż po Lublin. Począwszy tedy od Kijowa, szedł na Czarnogródkę, Trylizy i Pawołocz; za Pawołoczą nawracał na zachód, idąc wododziałem Bohu i Słuczy, potem wierzchowiskami Słuczy, Horynia, Styru i następnie wododziałem Bugu i Dniestru szedł dalej. Droga jednak lądowa dochodziła do źródłowisk Turyi i tu stykała się prawie z Bugiem. Dalszym ciągiem tej drogi niewątpliwie szedł Bolesław z Polski. Innej nie było. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Jarosław czekając na przeprawie na Bolesława, z drużyną swoją przyszedł nie lądową drogą, lecz w łodziach. Droga ta była już mu znaną. „Lieta 1041 ide Jarosław na Mazowzany w łodjach, — zatem z Turyi do Bugu musiał łodzie nawłokami przeciągnąć, a następnie Bugiem dopłynąć do Wisły. Inną drogą nie mógł się na Mazowsze dostać.

Dla handlu Arabów między Kijowem a Krakowem istniały zatem dwie drogi: wodna do Wisły, a następnie Wisłą do Krakowa, a druga lądowa — wojenna, jakby powiedzieć można. Ponieważ punktem ostatecznym dla handlu był Kraków i dalsze miasta zachodnio-europejskie, nie było ani potrzeby zatrzymywania się dłuższego po drodze, ani tembardziej prowadzenia handlu z ludnością dziką, nieprzystępną i cudzoziemcom niechętną (Jadźwingowie?), która ani potrzebowała drogich wschodnich materyi i kamieni, ani też tych ozdób ocenić nie umiała. Z tej też racyi na drodze zarówno lądowej jak i wodnej nie znajdujemy monet arabskich w takiej ilości, którаby świadczyła o znaczniejszym handlu zamiennym.

Czy monety arabskie z tego okresu, o którym mówimy, jako znak handlu znajdujemy w obfitości lub nie w Krakowie — dotychczas znaleziono tylko pod Bochnią, zdaje się, dyrhamy arabskie (1065) — nie świadczy to bynajmniej o tem, że między Krakowem a Kijowem nie było drogi handlowej i stosunków kupieckich, świadczy raczej, śród niezbitych dowodów jej istnienia, że z Krakowem prowadzono handel zamienny (materye i kamienie, kuny i ołów), który nie wymagał wcale lub bardzo mało kapitału obrotowego, jakim był pieniądz. Stąd w Krakowie mało znalezisk arabskich, gdy w Kijowie było tej monety w obfitości, jako rezerwy bankowej.

Domysł Szelągowskiego, że wielkie znaleziska arabskie w Kijowskie pochodzą z rabunku, jakkolwiek niczem nie poparty, posiada jednak prawdopodobieństwo historyczne, jeśli zważymy, że książęta kijowscy często robili wyprawy na daleki Wschód. „Ide Światosław na Kozary (964) — — — i odole — — — i grad ich Biełowieżu wzia“ (Doniec). Włodzimierz osadził syna swego (988) w Tumtorokani, co także nie bez poprzednich wypraw odbyło się. Ten sam Mścisław (1022) chodził na Kosogów, zwyciężył ich i „dań wozłoži na Kosogi“. Wszystkie te zwycięstwa nie odbywały się bez rabunku i zrabowane pieniędze mogli zarówno Jarosław jak i Mścisław do Kijowa zabrać. Ale — jest i ale. Wyprawy Mścisława są późniejsze od znalezisk arabskich w Kijowie, a pieniądze z czasów Włodzimierza znalezione są przeważnie na Peczersku. Wprawdzie Włodzimierz umarł na Berestowie (dziś Peczersk, cytadela twierdzy), ale po co by tam zakopywał pieniądze i trzymał je nieużytecznie w ukryciu przez 35 lat prawie, zamiast przekuć na własne grzywny?

Wszystko to wziąwszy na uwagę, trzeba skarby arabskie, znalezione w Kijowie, uważać jako kwestyę, co do ich pochodzenia, niewyjaśnioną dostatecznie, pomimo różnych hipotez.

III. Poznawszy wykopaliska i znaleziska monetarne na Rusi Kijowskiej, ich rozmieszczenie geograficzne i skupienia w różnych punktach, nasuwają się rozmaite pytania, wnioski i domysły, mniej lub więcej uzasadnione, odnoszące się do tej odległej epoki, obejmującej prawie siedem wieków nieprzerwanie, a następnie prawie $1^1/_2$ wieku stosunków bizantyńskich i arabskich.

Sięgnijmy w najdalszą przeszłość Rusi Kijowskiej. Przeszłość ta rozpoczyna się legendarnie od powstania Kijowa. Nazwa tego grodu nad Dnieprem środkowym, przy wpadnięciu niemal Desmy, odnosi się prawie do VII. wieku przed Chrystusem, chociaż o faktycznem powstaniu grodu nic nie wiemy, ale i legendy na przypomnienie zasługują.

Najdawniejsza sięga czasów greckiego osadnictwa, możnaby powiedzieć mglistego poranka tej doby, a żadne z miast na Rusi Kijowskiej nie było tak znane i tak głośne jak Kijów, ani tak, bądź fonetycznie, bądź geograficznie związane z nazwą dzisiejszą. Nazwa Kijów pojawia się historycznie stosunkowo późno, najwcześniej pono w pisarzy arabskich, jako: Kutaiba, Kutaba, Kujaua, Couyaba (u Massudego według pisowni d'Osson'a), Karkabah, Kartajana, jako stolica władzcy najbardziej zbliżonego do „muzułmanów"; w Grecyi (Konstanty Perfirogenita) jako Kiama, Kiiova. W Skandynawii zwano go Sambatas, a od połowy XII. w. na mapach skandynawskich już jest wymieniony Kiovia, jako kraj. Dopiero u późniejszych łacińskich pisarzy, a nieraz współczesnych mapom skandynawskim, nazwa Kijowa ustala się bodaj fonetycznie w łacińskiej pisowni. Thietmar (w rozdziale VIII) pisze raz Cuieva, drugi raz Kitawa, Adam Bremeński Chive, Helmold Chue, Gall Chyou (według brzmienia słowiańskiego).

Przy tej sposobności nasuwa się pytanie: kto założył to miasto? Jest to pytanie, które wchodzi w dziedzinę raczej hipotez niż historyi. Dwie są legendy, odnoszące się do początku Kijowa: jedna grecka, druga słowiańska. Ludzie i miasta mają swoje ambicye historyczne i chętnie sięgają w bardzo daleką przeszłość dla odszukania w niej protoplastów, nieraz fantastycznych. Niektórzy radziby i powstanie Kijowa odsunąć w przeszłość bardzo mglistą, a nawet bez błędu można powiedzieć, zupełnie nieznaną

w czasie, do którego założenie Kijowa odnoszą. Kto wie, czy początkowi baśni o założeniu Kijowa przez Greków-kolonistów nie dał impulsu Otto Freisingeński, który, nazwawszy Kijów — Chios, utożsamił go z nazwą małej greckiej wysypki. Stąd z powodu jednobrzemienności nazwiska już był wniosek bardzo łatwy i prawdopodobny o założeniu Kijowa przez kolonistów z Chios, Chionitów, którzy na pamiątkę swojej ojczyzny osadę tem mianem nazwali, Godzi się wszakże przypomnieć, że inni koloniści greccy, szczególnie z Miletu, wcale się nie troszczyli o to, ażeby swoje rodzinne miasta upamiętnić w dalekiej Scytyi, a co ważniejsza, że kolonie, w znaczniu miast, zakładali wyłącznie niemal nad brzegiem Euxynu i Meotydy. W głębi Scytyi — posługujemy się tu nazwą zbyt ogólnikową, — co najwyżej zakładali emporye, składy towarów, niezawodnie w punktach obronnych.

Badacz i miłośnik Ukrainy Kijowskiej — historycy nasi współcześni zapomnieli nieomal zupełnie, że ona była niegdyś cząstką Rzeczypospolitej polskiej, — Michał Grabowski pisał: „wiele jest podobieństwa, że osady greckie nie trzymały się tylko brzegów Czarnego morza przy ujściach do niego rzek, ale zapuszczały się w głąb kraju i tam tworzyły miasta i osady wewnętrzne. Być może, że śledzenia (1850) rozpoczęte odkryją posady takowych miast na brzegach wielu rzek dziś wyschłych lub uszczuplonych, a gdzie postrzegać się dają wielkiemi wałami opasane posady. Co do nas przynajmniej, nie wątpimy, że Kijów powstał początkowo z osady greckiej z wyspy Chios przybyłej. Cellariusz i inni Metropolis Ptolomeusza (o. 161) bierze za Kijów. Nierównie później — nawet bardzo bo kilka wieków różnicy! — od epoki istnienia znajomych miast greckich — nad Pontem, — a przecie w bardzo odległą jeszcze epokę, po r. 375, naród Chionitów, sąsiedzi Alanów, razem z nimi zwalczony został przez Hunnów. A ponieważ siedliska Alanów były blisko Dniepru (gdzie napewno?) i że Grecy żadnej osady tego imienia w Scytyi nie mieli, sądzimy, że Kijów był istotnie tą osadą Chios“. Że nazwy Alazonów, Alanów i Chionitów istniały, lepiej znane w literaturze niż w rzeczywistości, temu nikt nie przeczy, ale też i to pewne, że „żadnej osady Chios w Scytyi nie było“.

Grabowski, jak i inni, zbyt zaufał onomatologii wyrazów. Pisarze greccy, od Herodota począwszy, znali doskonale wszystkie nazwy swoich kolonii. Anacharsis, podróżujący po Grecyi w okre-

sie prawie rozkwitu Olbii (592 r. przed Chr.) byłby się może pochwalił przed Grekami, że i w głębi Scytyi potęga Grecyi nie jest obcą, a kolonie greckie sięgają dalej niż „trzy dni drogi w głąb Scytyi". Z wyprawy Dariusza do Scytyi także o Chios nie przedostała się żadna wiadomość. Nie wspomnieli również o tej wrzekomej kolonii greckiej ani Eudoxus (około 366 r.) ani współczesny mu Efor z Kum. Nie upoważnia też do wniosków Ptolomeusz, ażeby Metropolis a Chios były identyczne kolonie greckie. Nie znajdujemy wzmianki o Chios nawet u Pliniusza, który, jeśli nie przeczytał, to zacytował nieskończoną mnogość pisarzy, których dzieła już zaginęły, i zgromadził największą ilość nomenklatur. Ze świadectw, można nawet powiedzieć dowodów, negatywnych, że żadna osada Chios nie istniała w Scytyi, najważniejszem jest świadectwo Skymnos'a z Chios, współczesnego nieomal Mitrydatowi, który w swej Parjegesis nie tylko nie wspomina wcale o osadzie, związanej imieniem z jego wyspą rodzinną, ale wręcz utrzymuje, że Grekom Scytya nieznana — oczywiście musi tu być mowa nie o Scytyi naddunajskiej, ale głębszej — nad Dnieprem i za Dnieprem leżącej. A byłby przecie coś wspomniał o Kijowie dla chwały historycznej swojej wyspy.

Tak więc, pomimo pozorów, trzeba się rozstać z bardzo chwiejną hipotezą o pochodzeniu Kijów-Chios, dopóki się nie znajdą dowody pozytywne.

Jakkolwiek widzieliśmy, że najdalszym punktem, do jakiego dosięgły stosunki Olbii w basenie średniego Dniepru z prawej jego strony, była Machnówka w basenie Teterwi, wzdłuż brzegu Dniepru, w górę do źródeł, mogą się znaleść inne dowody, które do tematu naszego nie wchodzą. Ponieważ stosunki Scytyi z Grekami miały przeważnie charakter handlowy, a rzeki były nieomal jedynemi drogami, któremi komunikować się można było, należy przypuścić, że przy wielkich arteryach wodnych, w miejscach, gdzie handel był bardziej ożywiony, zakładano emporye, może magazyny tylko, skąd skupione towary ładowano dla dalszej ekspedycyi. Czy niektóre t. zw. zamki, zamkowiszcza, horodyszcza i horodki nie były właśnie punktami obronnymi dla składów towarów, gdzieby się równocześnie mieściła pewna załoga zbrojna? Oczywiście, domysł ten nie da się uogólnić, gdyż tego rodzaju horodki i horodyszcza mogły również powstawać i za Rurykowiczów dla obrony od napastujących ludność różnych nazw plemion turańskich. Szcze-

gólnie uderza nazwa horodyszcza leżącego na wysypce Rosi w miasteczku Steblowie — grecka twierdza (greczeskij zamok), tembardziej że tylko do tego jednego horodyszcza przywiązany jest przymiotnik „grecki". Tem pewniej musimy odnieść początek tego ziemnego zameczku do okresu stosunków z koloniami greckiemi, że w tej właśnie miejscowości znajdują się bronzowe strzały i współczesne wykopaliska. Późny okres grecki i rzymski już należą w zupełności do wieku żelaza. Tradycya ludowa często poprzedza historyę. Drugi tego rodzaju (nie chodzi o formę budowy) zamek (zamkowiszcze) leży w basenie Rosi we wsi Kononcza; i tu znajdują się przedmioty wieku bronzowego (celt, zawieszki bronzowe, fibuły, bransoleta). Chodzi nam tylko o wskazanie możliwości utożsamiania niektórych „zamków" i „horodków" z okresem greckich stosunków. Jakie było uwarstwienie kultur, gdzie one występują obficiej, o tem mówić nie będziemy, jakoteż o tem, jakie były różnicy między sztuką staro-grecką a bizantyńską danego okresu. W tym samym basenie Rosi, pod wsią Hamarnią, znaleziono resztki wielkiej łodzi, której części było spojone bronzowymi gwoździami i łącznikami, coby wskazywało niezbicie na stosunki z koloniami greckiemi bardzo odległej epoki.

Przejdźmy teraz do hipotezy słowiańskiej o założeniu Kijowa. Tkwi w tej hipotezie pierwiastek poetycki, równie piękny jak herodotowa legenda o początku rolnictwa śród Scytów, ale już zabarwiony podaniem chrześcijańskiem. Kiedy apostoł Andrzej, brat Piotra, nauczał w Synopie (około 40 roku po Nar. Chr.) — powiada Nestor — i przybył do Chersona, dowiedziawszy się, że ujście Dniepru niedaleko i że wodą może dopłynąć do morza Waregskiego, a stamtąd do Rzymu, zapragnął odbyć tę drogę. W podróży zatrzymał się pod górami — zwanemi później Kijowskiemi — i, podziwiając piękuość natury, powiedział, że kiedyś stanie w tem miejscu gród wielki i mnogie cerkwie na chwałę Boga.

Legenda może być bardzo prawdopodobną, bo „góry Kijowskie" były zaludnione oddawna. Odkrycia archeologiczne, zrobione w Kijowie na ul. Kiryłowskiej, wznoszącej się nad Obołonią, częścią Padołu, leżącą bezpośrednio nad Dnieprem, świadczą, że istniały tu osady ludzkie, stacye kilku kultur następujących jedne po drugich, z których najdawniejsza sięga okresu kości i kamienia niegładzonego (paleoletycznej), a co do fauny — mamuta. Nie będziemy spierać się o to, czy stacye te należą do okresu kultury Made-

leńskiej (Magdalénien), czy też są wcześniejsze (Wołkow contra Chwojko), dość że okres ten można odnieść do epoki bliskiej ustępujących lodowców. W tym czasie prawie w dzisiejszym Kijowie już były zatem większe skupienia ludzkie.

Jaki przeciąg czasu upłynął od owych pierwszych śladów życia ludzkiego na górach Kijowskich aż do legendy Nestorowej, nie będziemy się kusić o rozwiązanie tego pytania. Zbliżoną do prawdy odpowiedź dać może chyba jedynie geologia. Nestor, już jako stałych mieszkańców tej miejscowości, wymienia Polan, plemię o wyższej kulturze społecznej. Polanie ci, „ludzie mądrzy i zmyślni, są w Kijowie i po dziś dzień". Trzech braci, Polan, Kij, Szczek i Choryw z siostrą Łybedią osiedli na górach nad Dnieprem: Kij osiadł na górze, gdzie dziś (według Nestora) wąwóz Boryczew, Szczek osiadł na górze, zwącej się Szczekawica, a Choryw na trzeciej górze nazwanej Chorewicą. Wszyscy trzej założyli gród od imienia najstarszego brata i nazwali go Kijowem. Inni powiadali, że Kij był przewoźnikiem, czemu Nestor nie wierzy, z pewnem oburzeniem utrzymując, że gdyby był przewoźnikiem, toby nie chodził do Carogrodu. Chadzki do Carogrodu na rabunek były pewnego rodzaju rycerskim rzemiosłem, a Kij, jakkolwiek był naczelnikiem rodu swego, nie przeszkadzałoby mu to wcale być przewoźnikiem. Po tych braciach panowali Polanom książęta z ich rodu. Była zatem jakaś dynastya Polańska. Walczyli z tymi Polanami sąsiedzi Drewlanie, potem podbili ich Kozarowie, przyszli wreszcie Waregowie (około 862 r.) — Oskold i Dir — i opanowali gród i „mnohy Wariahy sowokupista i naczasta władieti polskoju zemleju". Ten wielki zaborczy dramat historyczny wysuwa na widownię dziejową nazwę Kijowa, jako fakt pozytywny.

Założenie Kijowa zatem przypadłoby w udziale nie Grekom, ale Słowianom, Polanom i miało miejsce na polskiej ziemi, według świadectwa pierwszego i najdawniejszego latopisca Rusi. Słowiańskie założenie Kijowa nie da się zaprzeczyć. Nie można oznaczyć chronologicznie czasu założenia Kijowa, ale słowiańskie jego pochodzenie jest pewne. Gdyby nawet Kij kijowski, jako indywiduum, jako człowiek nie istniał nigdy, nie wpłynęłoby to bynajmniej przecząco na słowiańską genezę Kijowa, bo stanęłaby nam do pomocy geografia ziem polskich i nazwa Kijowa, powtarzająca się w różnej formie na prastarej ziemi polańskiej, skąd

wyszli ci Polanie, którzy się osiedlili nad Dnieprem, bądź dobrowolnie, bądź przymusowo, jak to czynił Włodzimierz. Cała geografia najbliższych okolic Kijowa jest nierozerwalnie związana z gniazdową polańską Polską. Pod Kijowem znajdujemy Berestowo, ulubione miejsce pobytu Włodzimierza, w niewielkiej odległości Wyszogród i Kaniów; na Kujawach, które tak przypominają wszystkie współbrzmienne z Kijowem nazwy, znajdujemy Brześć, Wyszogród, Kaniów, a Kijów i Kaniów znajdujemy także na Śląsku. Oprócz tego znajdujemy Kijów pod Gniewkowem na Kujawach, Kijany nad Wisłą i nad Wieprzem, Kijanka nad Uszą i strumień (już nieistniejący) tegoż imienia w Kijowie, Kijowiec pod Kluczewem, Kijów i Kijowiec nad Wartą, — słowem, Kijów zdaje się być prastarą polańską nomenklaturą, powtarzającą się bardzo często na ziemiach Polski i utrzymującą się dotychczas. Jakiby mógł być źródłosłów tej nazwy? — na to może da odpowiedź lingwistyka.

Spróbujmy związać słowiańską legendę z rzeczywistością. W dzisiejszej mowie wyraz kij oznacza kawał drewna, różnej wprawdzie wielkości, ale nigdy tak wielkiej, ażeby człowiek posługiwać się nim nie mógł. Jeżeli sięgniemy do życia pierwotnego człowieka, do początków jego życia społecznego i kulturalnego, do warunków, w jakich zdobywał środki żywności i bronił się od napaści różnych wrogów, to jedyną jego bronią był kij i kawał kamienia, przystosowany do ujęcia w rękę. Wiele wieków upłynąć musiało, zanim się zjawiły łuk i proca, jako wielkie wynalazki. Ale ani formy życia nie giną doszczętnie, ani formy broni nie znikają do niepoznania. Wszystko ulega przekształceniu się i doskonaleniu się. Stąd powstają nowe nazwy dla tych samych form. Kij w ręku pierwotnego człowieka, najprzód opatrzony sękiem, zaokrąglonym korzeniem, później młotem lub toporem z kamienia, nie przestawał być symbolem siły i władzy. Czyż nie widzimy dziś jeszcze śród bawiących się dzieci jednego idącego na przedzie z kijem w ręku, podniesionym do góry? Takie wysuwanie się naprzód z kijem oznacza nie tylko dowództwo, siłę, władzę, ale ideę posłuszeństwa tej sile i władzy. Z czasem „kij" pospolity nie tylko począł zmieniać kształty, ale i nazwy, począł się ozdabiać — człowiek pierwotny zdobił rzeźbą kość, którą jako broń używał, — powstały więc nowe wyrazy: maczuga, obuszek, a gdy już proch wynaleziono i do broni palnej przystosowano, kijami jeszcze ku

końcowi XVI. wieku u nas nazywano pewien gatunek broni palnej, a obuszek, buława były symbolem tej samej władzy, siły i rozkazywania, jakim bywał niegdyś i bywa przy zabawie dziecinnej zwykły kij. To samo znaczenie miała buława hetmańska, a protoplastą jej był — zwykły kij *(batôn de comandement)*, u kozaków komyszyny.

Każdy naczelnik swego rodu, każdy wódz większego skupienia ludzi pierwotnych, uważał kij, dziś tak spospolitowany, za godło władzy, przewództwa, panowania w swoim rodzie. Władcę, posługującego się widomym znakiem władzy, wodza rodu lub drużyny utożsamiano z imieniem wodza, z symbolem jego władzy. U nas mówiono: wielka buława, mała buława, towarzysz wielkiej buławy; wsie, miasteczka należały „do buławy“, a nieraz nosiły nazwę — Buławy.

Każdy większy. potężniejszy naczelnik rodu od godła swojej władzy, zakładając osadę, na nią swoje imię przenosił, jeśli nie sam, to jego rodowicze. W ten tylko sposób można zrozumieć, dlaczego na wielkim obszarze Polski, śród Polan, powstało mnóstwo Kijowów i Kijowców.

Czyż nie taką samą drogą mógł powstać Kijów nad Dnieprem i pozostać na wicki świadectwem polańskiego pochodzenia?

Przejdźmy teraz do czasów rzymskich.

Widzieliśmy, jak się układało rozmieszczenie monet na ziemi Kijowskiej i gdzie były większe skupienia.

Zdaje się, że dopiero wojny Rzymian z Mitrydadem otworzyły na nowo wejście w głąb dawnej Scytyi, która uległa w przestworze kilku wieków różnym przesunięciom zamieszkujących ją narodów, przechodom różnych hord koczowniczych, które przesuwając się szeroką drogą nadeuxyńską na „Rum“, niszczyły doszczętnie zarodki kultury starogreckiej. Długi okres czasu upłynął, zanim miejsce Greków zajęli Rzymianie. Ci już nie ograniczyli się pobrzeżem Pontu, lecz wielkiemi drogami wodnemi sięgnęli w głąb kraju aż do Prypeci i jej dopływów. I oni, jak Grecy, szukali tu przedewszystkiem pszenicy. Zajmując szerszy obszar kraju niż Grecy, głębsze też ślady swego istnienia pozostawili. Idąc drogami, wskazanemi już przez kolonistów nad Pontem, sięgnęli tylko dalej, szerzej i głębiej, trzymając się zawsze basenów rzek spławnych; stąd też pobrzeża Dniepru, baseny Rosi, Taśminy i dopływy średniego Bohu najlepiej wskazywały ten pokojowy pochód Rzymian. Tworząc niewątpliwie małe osady kupieckie w głębi kraju, pozostawili

dotychczas przechowane prawdopodobne nazwiska tych osad: Fastów, Faszczówka, Antoniny, Antonowy, Tetyjów, wał Trajanów i zapewne więcej, dziś już do niepoznania przekształconych. W błotach Irdyńskich, które uważane jest za koryto dawnego Dniepru, znajdują kotwice i resztki łodzi.

Najbardziej może interesujące, jako ślady stosunku Rzymian z tuziemcami, są t. zw. Wały Trajana. Niektórzy badacze zaprzeczają współczesności i prawdziwości tej nazwy (Nadieżdin), ograniczając istnienie wałów Trajana tylko do okolic naddunajskich, ale legenda ludowa tym razem jest niewzruszona. Widocznie panowanie Trajana zaznaczyło się jakiemiś wielkiemi wypadkami, skoro w pamięci ludzkiej, ludowej, przez mnogie wieki nie zatarte, pozostało nazwisko Cesarza, gdy inne w pomroce dziejowej zaginęły. Ani grupy narodków, zmieniające się w przestworze wieków, ani ich walki wzajemne i mordowania się, nic nie zatarło śladów nieznanych nam wypadków, z którymi związane zostało imię Trajana. Widocznie jakaś garstka ludności prastarej, która te czasy przeżyła, przechowała imię Cesarza dalekiego i potężnego państwa. „Wały Trajana“ nie są bynajmniej nazwą literacką, powstałą z nieuchwytnych wpływów fantazyi, ale nazwą historyczną, powstałą z rzeczywistości, dochowaną tylko w jednej miejscowości dotychczas. Znalazła ona miejsce i w poezyi, blisko dotykającej Kijowa i Rusi Kijowskiej. Nieznany autor poematu p. t. Słowo o połku Igorewie otacza to imię symbolem historycznym, głucho powołując się na „czasy Trajanowe“. Wprawdzie Pieśń o pułku Igora niektórzy słusznie zaliczają do tej samej kategoryi pomników literackich co Pieśni Osyana i Rękopis Królowodworski, ale — *à bon entendeur salut.* Jeden tylko Hanka był na tyle nieostrożny, że — zostawił rękopis, nieprzewidując, jakie w nim szczerby, poza filologią, zrobi chemia nowożytna. Rękopis Pieśni o pułku Igora szczęśliwym wypadkiem spłonął bardzo patryotycznie, bo w chwili pożaru Moskwy w r. 1812. Zniknął przeto jako objekt badania dla chemii, ale pozostał w literaturze ku zadowoleniu dumy narodowej. Jeśli ten zabytek literatury XII. wieku jest prawdziwy, to świadczy, że w przestworze wielu wieków imię Trajana pozostało nienaruszone. Znikli Marek Aureliusz, Sewer, Hadryan, może nawet Antoniny, po których tyle monet pozostało, ale Trajan, w całej nienaruszalności przetrwał do naszych czasów.

Usypiska ziemne, zwane Wałami na Rusi Kijowskiej, dzielą się na dwie wielkiś grupy, odrębne nie charakterem, ale nazwami: jedną lud nazywa Wałem Trajana, drugi Wałem Żmijowym. Te dwie nazwy są najbardziej charakterystyczne: jedna jest historyczna, druga legendowa. Pomijam nazwy miejscowe, najczęściej przygodne lub przystosowane do części dawnych wałów, jak Mytnicki, Atamański, a nawet Wasylowy. Nie wdaję się w wyjanienia tych nazw, pozostawiając to specyalnej monografii, którą ktoś kiedyś napisze. Ze względu jednak na nazwę Wału Trajana, związaną z naszym tematem, parę słów wogóle o wałach powiedzieć należy. Są one jeżeli nie wyłączną właściwością Kijowszczyzny, to niewątpliwie stanowią w jej terytoryum największą część istniejących wałów i tworzą wogóle zagadkę historyczną, zarówno co do czasu powstania jak i celowości swojej.

Od chwili kiedy się poczęto zajmować archeologią Rusi Kijowskiej — m. w. na początku piątego dziesięciolecia XIX. wieku — wały wogóle poczęły znikać: rozkopywano je i rozorywano dla kultury rolnej i dla ułatwiania komunikacyi, tak że łączność między nimi znikała niemal zupełnie i zacierał się zatem charakter ich celowości i znaczenia, bo nie można było odtworzyć dokładnie całkowitego ich rysunku czyli dokładnej topografii wałów. Wiele linii zatarło się zupełnie, ale ponieważ ślad ich pozostał w literaturze (Grabowski, Funduktej, Kulisz i inni), nie trudno byłoby według tych wskazówek odtworzyć bodaj porównawczą mapkę wałów z przed 75 lat i teraz. Dzisiejsza mapka wałów stanowi cząstkę mapy archeologicznej Kijowskiej gubernii Antonowicza, która pod względem technicznym jest tak niedbale i niedokładnie wykonaną, tak linie wodne z liniami dróg zlewają się lub przerywają się nieznacznie, że wszelkie ścisłe badania topografii wałów są utrudnione, a skrócona mapka Kazimierza Moszyńskiego (Ziemia Nr. 40, rok 1913), jakkolwiek terytoryalnie rozszerzona, przedstawia zarysy wałów w nader prostych liniach, może dać zatem o formie i kierunku wałów bardzo pobieżne tylko wyobrażenie. Jest to tem trudniejsze, że nawet w jedynej mapie archeologicznej gub. Kijowskiej Antonowicza, w rzeczowym wykazie objektów archeologicznych, wały zostały zupełnie pominięte. Co do kierunku i granic wałów dla oryentacyi pozostaje jedynie ta mapa pod względem mapograficznym ogromnie bałamutna i trudna do użycia. Rozrzucone zatem według powiatów wiadomości o wałach w mapie

archeologicznej należałoby dopiero zebrać i zrobić osobną, dokładną mapkę wałów. Niewątpliwie, że ktoś to uczyni przy monografii wałów.

Zaznaczyłem już, że w Kijowszczyźnie, szczególnie w środkowej jej części, dwie tylko nazwy zasługują na większe zaciekawienie: wały Trajana i Żmijowe. Czas powstania wałów wogóle wymyka się z pod kontroli chronologii. Zdaje się jednak, że wały w Kijowszczyźnie przeważnie powstały w okresie rzymskiego handlu i były niczem innem, jak tylko systemem obrony ludności rolniczej, produkującej zboże dla Rzymu, od napadów wędrownej, koczowniczej ludności. Wały, jako wielkie i długie linie ochronne, pozwalały ludności zajmować się mniej lub więcej spokojnie uprawą zboża, szczególnie jeżeli zważymy, że wały albo były poprzedzielane rowami, albo sypane wzdłuż biegu rzek, tak że napadający nieprzyjaciel miał do przebycia dwie zapory: rów albo rzekę i wał, co wcale nie było rzeczą łatwą dla współczesnego człowieka, posługującego się prymitywnymi środkami atakowania i obrony. Z prawej strony Dniepru wał taki ciągnął się wzdłuż Rosi od wpadnięcia jej do Dniepru aż do Białej Cerkwi, a równie wybitny charakter obronny miał wał ciągnący się od Łubniów aż do wpadnięcia do Dniepru Suły. Taki system obrony nie był i nie mógł być jakąś regułą. Tam, gdzie konfiguracya terenu pozwalała lub ułatwiała obronę, zadowalniano się tylko usypaniem wału. Obramienie ludności wałem obejmowało zawsze większe terytorya, ale tylko takie, które miały bezpośrednią komunikacyę wodną Dnieprem, Rosią lub nawet Taśminą. Dostrzegać się daje, co do ugrupowania wałów, trzy wielkie obszary zamknięte i obronne. Idąc od północy, prawym brzegiem Dniepru, widzimy najprzód trójkąt zamknięty od wschodu Dnieprem, od północy Teterewem, od południowego zachodu wałem; następnie, poniżej nieco, między Trypolem a Kaniowem (Dniepr) w kierunku zachodnim rozciąga się obszerny nierównomierny czworobok o liniach nierównych: linia zachodnia od Trypola idzie na Mytnicę, Fastów, Romanówkę do Chodorkowa, skąd pionowo na południe do Czerniawki, skręca nieco na wschód po pod Różyn i zdąża po pod Skwyrę do wylotu przy Sucholczach. Południowa linia tego czworoboku idzie Rosią od Kaniowa przez Bohusław do Białej Cerkwi, a przecinając Roś, podąża na północny zachód i kończy się w Poczujkach. W ten sposób między Poczujkami a Skwyrą idzie wał obustron-

nie w formie podłużnego wyjścia, kończącego się stosunkowo wązkim wylotem w Sucholesach i jest poprzecznie zamkniętym Rosią, płynącą z południowego zachodu. Trzecia linia wałów ochronnych ma ze wschodu Dniepr, od południowego zachodu Taśminę na całej długości, od zachodu Siną wodę (basen Bohu) i wreszcie wylot koło Żwinogródki. Dostęp do tego terytoryum zamykał się stosunkowo wąskim pasem między źródłami Ingułu i Taśminy, które strzeżone było, niby szańcami, poprzecznem usypiskiem, zamykającem drogę do wnętrza, ogrodzonego wałem i rzeką. Ponieważ niebezpieczeństwo groziło zawsze z południa od hord koczujących, bardzo być może, że takie odgradzanie uprawnych terytoryów wałami było pomysłem Rzymian, naśladowanym zapewne przez późniejszych mieszkańców i w innych może celach.

W jaki sposób była zagrodzoną droga pochodu i najazdów koczowników w głąb późniejszego Podola, to już do mego tematu nie należy.

Nazwę Wału Trajana zachowała tylko ta linia, która się poczyna w Poczujkach, dochodzi do Białej Cerkwi i, idąc wzdłuż Rosi, przez Bohusław, kończy się pod Kaniowem. Tu też tylko, na dopływie Rosi (w Mazepińcach) i w pobliżu (w Daszowie), znajdujemy monety Trajana. Znajdujemy jeszcze monety Trajana na dolnym biegu Taśminy, ale pamięć o Cesarzu rzymskim już się śród ludności zatraciła, gdy, przeciwnie, utrzymuje się dotychczas nad Rosią: ludność zwie go carem jermlańskim (rzymskim).

Skąd i jaką drogą powstać mogła nazwa Wałów Żmijowych, w rozwiązaniu tej zcgadki, wkraczającej w dziedzinę folklorystyki, a odnoszącej się do monografii wałów, wdawać się nie będziemy.

* * *

Rozpatrzywszy bardzo pobieżnie i bez pretensyi do wyczerpania przedmiotu, co zresztą w obecnych czasach byłoby niemożliwem, ślady dróg, któremi kultura starego świata przenikała w głąb dzisiejszej Ukrainy, t. j. Kijowskiej gubernii tylko, nie możemy nie położyć nacisku na to, że o ile rzecz dotyczy monet greckich i rzymskich, wogóle wpływów Grecyi i Rzymu, to wpływy te szły przeważnie od południa morza: i rzeki były łącznikami dwóch światów, starego, ginącego i nowego, pełnego sił świeżych

i młodych, pełnego młodzieńczej bujności. Jeśli dla Podola takim łącznikiem były Boh i Dniestr, to w głąb późniejszej Rusi Kijowskiej szeroką drogę otwierał Dniepr, może stary prasłowiański Beresteń, przerobiony na grecki Borystenes. Na teraźniejszem poniziu Dnieprowem rozpoczęła się ożywiona czynność archeologiczna, która niewątpliwie wyda piękne rezultaty i oświetli prehistoryę tego ciekawego kraju, będącego już za naszej najświeższej historycznej doby przytuliskiem dzikich hord tatarskich i równie dzikich watah kozackich i hajdamackich.

Ruś Kijowska była prawie ostatnim etapem, dokąd na północy sięgała wiadomość o Grecyi i Rzymie. Stąd też i ślady tego wpływu są mniejsze. Bogatszem niewąpliwie pod tym względem było Ponizie Dnieprowe, dolny bieg Bohu i Dniestr. Tu, bliżej ku wielkiej drodze morskiej, było życie kupieckie żwawsze i szczątki tego życia wogóle obfitsze. Ślady te zaledwie rozpoczęto badać, a dużo lat upłynie, zanim ktoś pokusi się z okruchów przeszłości stworzyć dawno miniony obraz i na jaw, z zasp piaszczystych, z rumowisk ziemnych, wydobędzie szczątki zamarłego życia. Wzdłuż Dniepru, ku morzu Czarnemu, napotykają się ciągle wykopaliska greckie i rzymskie, niebadane porównawczo, ale zaledwie skatalogowane, stare osady paleolityczne, neolityczne, bronzowe, żelazne, w pomieszaniu lub uwarstwieniu leżące, a śród nich sterczą złomy starego kulturalnego świata. Kilka takich miejscowości możnaby wskazać przykładowo. Dostrzegło je oko ciekawych podróżnych wcześniej niż dotknęła krytyka badacza-archeologa.

Zejdźmy na Niż, ku porohom.

Dwa punkty przedewszystkiem zwracają uwagę geografa, historyka, archeologa na Niżu Dnieprowym, które są zagadką nierozwiązalną: Kremnoj Herodota i Metropolis Ptolomeusza. Gdzie mogły znajdować się te miejscowości? Czy Kremnoj i Metropolis można utożsamić? Spróbujmy zbliżyć te nazwy i na dzisiejszym terenie odszukać ślady istnienia. Wprawdzie teren ten — ponizie Dnieprowe — usuwa się z naszego tematu, ale przez Ponizie Dnieprowe wiodła droga w głąb późniejszej Rusi Kijowskiej, a zatem nie jest obojętny i dla nas.

Posuwając się w górę Dnieprem od ujścia, dochodzimy do słynnego w naszej historyi Kamiennego zatonu, skąd kozacy regestrowi w 1648 r., zdradziwszy Rzeczpospolitą, wyszli na spotkanie Chmielnickiego i pod Żółtemi wodami wspólnie uderzyli

na młodego Potockiego. W tej miejscowości, ale z lewej strony Dniepru nad wielkim Białem jeziorem, oddzielonem wąskim przesmykiem lądowym od ramienia Dniepru, zwanego Konką, znajdują się dwa horodyszcza. Kamienny zaton zaś jest starą zatoką Dnieprową długości około dwóch kilometrów i szerokości około 350 metrów. Zatoka, już od czasow historycznych, bywa pod wodą jedynie w okresie wiosennych wylewów rzeki i przedstawia nietylko ślady sztucznego budowania, ale całe miejscowości charakteryzujące się przymiotnikiem „kamienny". „Znajdowano tu dawniej — pisze zwiedzający tę okolicę p. Padałka — (Archeołog. liet. Južnoj Rusi, R. 1903, str. 97) w piaszczystych nasypiskach horodyszcza małe cieniutkie złote monety (baszłyczki), a także innej formy złote monety (gudzyki)". Miejscowa ludność opowiada, że pod wzgórzami nawianego piasku znajdowano w tem horodyszczu drogę brukowaną kamieniem, który oczywiście został pod budowle wiejskie zużytkowany; że natrafiano jakieś „płytki" wypalone z gliny, ślady murowanych piwnic, wreszcie na rzece Konce resztki mostu z kamienia. Wziąwszy na uwagę możliwość istnienia w tej miejscowości obronnego portu przy zatoce Dnieprowej, — wszystko to wskazywałoby, że było w tem miejscu kiedyś jakieś wielkie miasto, jakieś wielkie skupienie kupieckie. A pamiętać należy, że ów Kamienny zaton (zalewisko, zasypisko?), kamienne piwnice, most z kamienia, drogę brukowaną kamieniem, jakiś wielki kamień nieokreślonego przeznaczenia, leżący opodal, wreszcie wieś Kamienskoje, to wszystko znajduje się w miejscowości, gdzie nietylko niema wcale kamienia, ale go dowozić trzeba zdaleka.

Wziąwszy to wszystko na uwagę, mimowolnie nasuwa się pytanie: czy to nie resztki tych tajemniczych dzisiaj miast — może Kremnoj, może Metropolis, może inne, które niegdyś skupiały w sobie wielki handel Greków lub Rzymian, były wielkiemi emporyami tego handlu, zniszczone napływającą falą nieznanych barbarzyńców, już do życia i rozkwitu nie wróciły?

Bliższe badania tej, a może jeszcze innej miejscowości na Niżu, odkryć by mogły nowe fakty, nowe dowody, jakiemi drogami wpływ kultury starego świata przedzierał się do hyperboreów.

Zakopane 1916. *Fr. Rawita-Gawroński.*

Notatki.

Doroczny Zjazd Związku Spółek zarobkowych i gospodarczych stanowi zawsze ważną datę w życiu dzielnicy wielkopolskiej. Dokonuje się na nim przeglądu całorocznej pracy tej najważniejszej naszej organizacyi gospodarczej pod panowaniem pruskiem. Spójność i samodzielność gospodarcza społeczeństwa tamtejszego znajduje w tych obradach swój wyraz. Wojna nie zdołała zachwiać życiem Spółek i Związku. Obrady doroczne i w tym roku odbyły się tak, jak i w latach poprzednich, i Zjazd Związku ani liczbą delegatów, ani powagą obrad, ani ważnością powziętych decyzyi nie ustępuje w niczem Zjazdom, odbywanym w szczęśliwszych czasach. Przeciwnie, wykazuje on, że te organizacye gospodarcze umiały się wszechstronnie przystosować do sytuacyi wojennej. Umiały przetrzymać ciężkie próby, uchronić się od ryzykownych przedsięwzięć, do których wojna dostarcza wielu okazyi, powstrzymać się od pogoni za nadmiernym zyskiem, dbając o to, by nie wstrząsnąć podstawami finansowemi i nie narazić się na przesilenie.

Na obecnym Zjeździe na plan pierwszy wysunęła się sprawa przystosowania się do problemów gospodarczych, które wyłonią się po zawarciu pokoju, gdy silnie bić zacznie fala normalnego życia, gdy wzrosną olbrzymie zapotrzebowania pieniężne i zarówno Spółki, jak i Bank Związku staną przed bardzo ciężkiem zadaniem. By jak najlepiej przygotować się na ten moment, Zjazd nawoływał do ograniczenia dywidend, a do zwiększania funduszów rezerwowych, do odpowiedniej lokaty kapitałów, którąby umożliwiła ich szybką realizacyę. Ta troska skłoniła Zjazd do przeprowadzenia niektórych reform organizacyjnych, jak np. do przyznania większego wpływu Patronowi na życie poszczególnych Spółek, których samodzielność oczywiście pozostaje nienaruszoną. W szcze-

gólności przyznano Patronowi prawo *veta* przy wyborze członków Zarządu i Rad nadzorczych Spółek. Inną, bardzo ważną reformą, jest postanowienie podwyższenia kapitału zakładowego Banku Związku, które ma wynosić sumę 9 milionów marek. Byłoby to podwyższenie bardzo znaczne, gdyż kapitał zakładowy Banku wynosi dotychczas 6 milionów marek. Kapitał ten oddawna był za niski, ale chciano pierwotnie z reformą poczekać do końca wojny. Obecnie jednak niepodobna czekać, gdyż natychmiast po wojnie spadną na Bank bardzo ważne zadania.

Obcy, nieżyczliwi badacze życia Spółek podkreślają zawsze ten fakt, że te Spółki, wraz z Bankiem i Patronatem, stanowią zwarty, silny organizm, który ma nietylko gospodarczą potęgę, lecz również jest wyrazem społeczno-narodowej odrębności żywiołu polskiego. Istotnie, źródłem rozwoju polskich instytucyi gospodarczych pod panowaniem pruskiem jest to, że opierają się one na własnych siłach, że z polskiego społeczeństwa wyrosły i temu społeczeństwu służą. Wojna, która podcięła w innych dzielnicach gospodarczą samodzielność wielu organizacyi i oparła je silniej na pomocy państwa, nie zdołała niczego zmienić w tym stanie rzeczy. Polskie Spółki pod panowaniem pruskiem przetrzymały kryzys o własnych siłach i obecnie gotują sie do podjęcia nowych, ciężkich zadań powojennych, licząc tylko na własne zasoby, a nie na pomoc państwa.

Widzimy więc, że są w Polsce instytucye, którymi nie zdołała zachwiać wojna. Stało się to nie dlatego, że bezpośrednie zniszczenie wojenne ich nie zdołało dosięgnąć, lecz przedewszystkiem dlatego, że odpornemi na wszystko są ich podstawy moralne i organizacyjne. Rozstrzyga tu nie sama pomyślność materyalna, lecz duch, który rządzi tymi materyalnymi zasobami i strzeże ich dla przyszłości.

* * *

Równocześnie prawie ze Zjazdem Spółek toczy się w prasie dyskusya o kulturze Wielkopolski. Dał do niej asumpt odczyt, wygłoszony w Poznaniu przez Stanisława Przybyszewskiego o kulturze Poznania. Odczyt ten wywołał dyskusyę, niektóre uwagi tego pisarza zrozumiano jako zarzut, wymagający odparcia. Przybyszewski, którym wedle jego słów kierowało przekonanie, że „Poznańskie, a raczej Poznań może znowu i powinien stać się sercem

Polski“, wypowiedział na swoją obronę te słowa: „Nabrałem niezłomnej ufności w niespożytą moc odrodzenia się społeczeństwa poznańskiego, zrodziło się we mnie to przeświadczenie, że Poznańskie sprosta twardym, ale dostojnym obowiązkom, jakie na niem teraz spoczęły, że stanie się znowu silną i ofiarną ostoją dla całego życia umysłowego Polski, którego byt więcej może jeszcze zagrożony, aniżeli po 1831 roku — że stanie się tem, czem było ongi: Sercem Polski“.

Do przekonania o wysokiej wysokiej wartości Poznania dojść musi każdy, kogo nie zaślepiła doktryna, który umiał śledzić i wczuć się w wojenne przeżycia naszego społeczeństwa. W pewnych sferach było przez długi czas modnem rzucanie anatem na dzielnicę wielkopolską, wyrzekanie na jej bierność i jałowość duchową, na jej analfabetyzm polityczny. Głosy te dzisiaj już milkną, niemniej jednak słyszy się czasem uwagę, że Polacy pod panowaniem pruskiem poszli jednostronnie w kierunku rozwoju materyalnego, zaniedbując pracy „kulturalnej“. Gdyby nawet tak było, to nie możnaby winić za to polskiego społeczeństwa, gdyż nie można winić za to, że ktoś dba o utrzymanie swojego bytu, gdy ten byt jest zagrożony, a zaniedbuje rozwoju wyższych funkcyi duchowych. Ale wogóle to przeciwstawienie rozwoju gospodarczego Wielkopolski rozwojowi kulturalnemu, pojmowanie pierwszego jako zwyczajnej pogoni za dobrobytem, za materyalnem powodzeniem, jest z gruntu fałszywe.

Niewątpliwie rozwój narodowy dzielnicy pruskiej jest jednostronnym. Ale może bardziej jednostronnym jest rozwój innych dzielnic Polski. Jednostronnym musi być rozwój narodu, pozbawionego własnego bytu państwowego, a tembardziej rozwój narodu, podzielonego na trzy części, związanego z najbardziej sprzecznymi organizmami. Nieuchronnym w tych warunkach jest zanik niektórych funkcyi, szczególna dbałość o to, by przedewszystkiem byt narodowy zabezpieczyć. Chodzi tylko o to, jaką jest ta jednostronność, czy ona sięga do głębi życia duchowego narodu, czy też jest przejściowem skrępowaniem jego rozwoju, który może natychmiast się ujawnić, gdy tylko opadną więzy.

Wielką krzywdę społeczeństwu polskiemu pod panowaniem pruskiem wyrządza ten, kto widzi w niem tylko rozwój materyalny i wyłącznie tylko dążenie do utrzymania prymitywnych przejawów życia narodowego. Pojmuje on błędnie rozwój gospodarczy tamtej

dzielnicy, posługuje się też fałszywem pojęciem „kultury“. Kultura w tem przeciwstawieniu jest tylko kulturą artystyczną, naukową i literacką, gdy tymczasem właśnie w przejawach rozwoju gospodarczego dzielnicy pruskiej tkwią najcenniejsze, najbardziej swoiste pierwiastki kulturalne. W tem, w czem mało wprawne lub uprzedzone oko widzi tylko troskę o byt materyalny, w istocie rzeczy przejawiają się wielkie zalety moralne społeczeństwa, zdobyta w ciężkiej walce zdolność i umiejętność działania zbiorowego, wytrwałość w pracy wspólnej, czuwanie pod jej poziomem etycznym, zmysł organizacyjny, umiejętność przystosowywania się do każdej, najtrudniejszej nawet sytuacyi, a przedewszystkiem samodzielność życia społecznego, która tylko na własnych siłach się opiera i na własne siły liczy — to wszystko są elementy dalekie od pogoni za zyskiem, choć dzisiaj głównie w dziedzinie gospodarczej się ujawniają; są to rzeczy, którymi najbardziej nasza kultura szczycić się może. Trafny wyraz zrozumienia tego faktu widzimy w ostatniej powieści Stefana Żeromskiego, „Nawracaniu Judasza“. Oto myśli jej bohatera, Nienaskiego: „Zorganizowana praca poznańczyków, ich znakomite kooperatywy rolne, związki i organizacye, ich defenzywa na wyłomie, zasłaniająca całość narodu, ciągnęła ku sobie jego duszę. Nie Galicya, lecz właśnie Poznańskie zdało mu się być Piemontem ducha polskiego... Jutro poznańczycy mogą się stać nauczycielami i instruktorami Polski całej, — mogą zaprowadzić dyscyplinę nietylko kultury materyalnej, lecz i ducha zbiorowego“... (str. 196 i 197).

Istotnie te Spółki, Rolniki, Banki, a raczej ta kultura życia zbiorowego może stać się źródłem ożywczem dla d u c h a całej Polski, bo w niej przedewszystkiem wyraża się to, czego nam najbardziej potrzeba — jednolita organizacya narodu, która według zdania nawet obcych zbliża się swoim charakterem do życia państwowego, w każdym razie dla tegoż życia stanowi znakomitą szkołę. I w przyszłości całemu narodowi ta bierność, ten brak „kultury“, może dać więcej, niż patentowane dzisiaj narzędzia wyzwolenia.

* * *

Gdy mowa o kulturze Poznania, nasuwa się na myśl kultura Krakowa. Z tego miasta padały w ostatnich czasach najczęściej zarzuty pod adresem Wielkopolski, o których poprzednio

była mowa. Trudno też znaleść większe przeciwieństwo, jak między życiem kulturalnem tych dwóch miast. Warszawa pod wielu względami zastosowała podobne metody życia zbiorowego i podobnie nauczyła się patrzeć na sprawy polskie, jak Wielkopolanie. Natomiast Kraków pozostał innym, pod wielu względami obcym tamtym środowiskom.

Kraków znajdował się przed wojną w najszczęśliwszem położeniu, korzystał ze względnej swobody politycznej, mógł swoje życie swobodnie w różnych kierunkach rozwijać, przeszłością swoją i korzystnem geograficznem położeniem przyciągał Polaków ze wszystkich dzielnic, miał więc dane na to, by stać się w każdem znaczeniu miastem ogólno-polskiem, siedzibą myśli wybiegającej poza dzielnicowe rogatki. Przekonany o swej kierowniczej roli, na początku konfliktu wojennego wyciągnął rękę po władzę nad całą Polską. I co się stało? Czy Kraków potrafił przemówić do całej Polski? Czy potrafił porwać i zorganizować cały naród, wnieść w niego tę jednolitość, której wymaga chwila obecna? Wszyscy wiemy, jaki był przebieg zdarzeń. Łańcuch niepowodzeń, prób teroryzowania innych dzielnic, ciągłe tylko jątrzenie, a w końcu kompletne, nieukrywane fiasko całej akcyi. Przyczyny tego nie można szukać wyłącznie w zewnętrznych konjunkturach i przypadkowym doborze osób, które znalazły się u władzy. Istotna przyczyna tkwi głębiej, w całym charakterze życia politycznego i społecznego Krakowa, w jego kulturze w najogólniejszem tego tego słowa znaczeniu. Poprostu Kraków rozwinął się bardziej jednostronnie, niż inne środowiska polskości, jednostronność jego rozwoju okazała się bardziej szkodliwą.

W czem przejawia się ta jednostronność? Otóż mamy w Krakowie wybitny rozwój tych pierwiastków kulturalnych, które przejawiają się w dziedzinie życia indywidualnego, a brak, względnie bardzo niski poziom kultury społeczno-narodowej. Kwitnie w Krakowie nauka, sztuka i literatura, w tych dziedzinach inne miasta muszą przyznać Krakowowi pierwszeństwo. A co poza tem?

Ktokolwiek poznał warunki pracy społecznej u nas, ten przekonał się, że najtrudniejszą jest ona w Krakowie. Nigdzie apatya, obojętność na sprawy publiczne nie jest tak wielka. Zagłębie krakowskie stopniowo przechodzi w obce ręce. W samem mieście panoszy się coraz bardziej żywioł obcy. Powstają jak grzyby po deszczu obce banki, zagarniają władzę w miejscowych instytucyach.

Coraz częściej i śmielej rozlega się wszędzie obcy szwargot. Opinia publiczna albo milczy, albo poprzestaje na gazeciarskim proteście lub szumnym wiecu. Słyszy się czasem patryotyczno-gospodarcze deklamacye, narzekania na panowanie obcego kapitału, a nazajutrz ci sami nieprzebłagani, którzy je wygłaszali, stają się obrońcami tego zalewu w Radach nadzorczych i innych jeszcze Radach. Próby organizacyi gospodarczej, podobnej do tej, dzięki której zwarło się w jedno wielkopolskie społeczeństwo, wydają nikłe rezultaty. Wrażliwość na sprawy narodowe pozornie silna — w istocie rzeczy objawia się frazesem, nie czynem. Trafny sąd o niej czytamy znów w „Nawracaniu Judasza“: „Na Towarzystwo Szkoły Ludowej, na Macierz Śląską — Kraków, to „serce Polski“ dawał stosunkowo najmniej ze wszystkich miast galicyjskich. Nigdzie powiewu natchnienia do wielkiego zbiorowego dzieła. Ani śladu porwania się na czyn doniosły. Co pewien czas uroczystości z mszami polowemi, z kazaniem, pochodami, „bankietem“ pełnym mów, po którym uczestnicy długo nie mogą przyjść do siebie. Nikt, zdaje się, nie czuł straszliwie jasnego niebezpieczeństwa, iż czas uchodzi, siła topnieje, w oczach znika grunt, wsiąka we wrogie organizmy i marnuje się żywioł polski“ (str. 196).

Kraków jest główną siedzibą stronnictw, które zażądały posłuszeństwa od innych dzielnic, które chciały ująć władzę nad narodem w swoje ręce. Czy one jednak udowodniły, że dorosły do tego zadania? Przeciwnie, martwota, zanik szerszej myśli cechował już od dłuższego czasu ich życie wewnętrzne. O prawdziwem życiu politycznem, bez względu zresztą na jego partyjny kierunek, nic tutaj nie słychać. Stronnictwa krakowskie, to grupki osób, związanych mniej lub więcej poziomymi interesami, to spółki jednostek, eksploatujące — władzę. Czasami wynika między niemi spół o podział łupów — i wtedy dopiero rysują się różnice programów, które znikają natychmiast, gdy tylko zostanie zawarty kompromis.

Klasycznym obrazem poziomu życia zbiorowego oficyalnego Krakowa jest głośna i znana sprawa Rady miejskiej i jej prezydenta. Trudno znaleść bardziej jaskrawy dowód zaniku odwagi cywilnej i braku poczucia odpowiedzialności jak ten, którego dostarcza ta cała afera. Dla ludzi znających Kraków, nie jest ona jednak czemś nadzwyczajnem. Podobne rzeczy zdarzają się często. Znajdują nawet potępienia u wielu, ale to potępienie ogranicza się

do prywatnych rozmów. W działaniu publicznem otacza je tolerancya a nawet czynne współdziałanie.

W ostatecznym rezultacie bardzo groźną jest ta jednostronność „kultury“ Krakowa. Jedna lub druga dzielnica może szwankować pod względem umysłowego rozwoju, może być w trudnych warunkach gospodarczych, może wreszcie być pozbawioną całego mechanizmu politycznego — są to braki ciężkie, z których jednak łatwo się podnieść, gdy zdrowe są podstawy życia narodowego, ale ciężko się podnieść społeczeństwu wtedy, gdy jego moralny charakter jest słaby, gdy niedołężnem, nieodpowiedzialnem jest jego życie zbiorowe, gdy pozwoli ono z zimną krwią rządzić obcym u siebie. Wtedy ratunek musi przyjść z zewnątrz — bardziej chora część organizmu uleczy się, gdy połączy się w jedno ze zdrowszemi częściami.

Sprawozdania.

„Ruch współdzielczy na ziemiach polskich". — Wydawnictwo kraj. Biura Patronatu Spółek oszczędności i pożyczek. — Lwów 1916.

W ostatniem dziesięcioleciu zainteresowanie społeczeństwa polskiego ruchem współdzielczym wzmaga się coraz bardziej. Objaw ten idzie w parze z coraz większym rozwojem u nas stowarzyszeń współdzielczych. Doprowadzać on nawet zaczyna do przeceniania znaczenia współdzielczości, do przypisywania jej charakteru zbawczego, ogólnego lekarstwa na wszelkie braki naszego gospodarstwa narodowego. W tych warunkach za niezmiernie pomyślny objaw uważać należy, że równolegle z rozwojem ruchu współdzielczego pojawiać się i u nas zaczyna coraz bujniej kwitnąca literatura współdzielcza: ułatwia ona zdanie sobie sprawy ze stanu i rezultatów ruchu, wciąga naukę do pomocy przy samodzielnem rozwiązywaniu praktycznych problemów, które życie stawia młodej naszej kooperacyi, ułatwia krytyczny na nią i na jej przyszłość pogląd. W kilku ostatnich latach mamy do zarejestrowania szereg już poważnych większych i mniejszych prac z tej dziedziny, jak praca zbiorowa pod redakcyą Dr. Michalskiego o „Polskich kooperatywach kredytowych i kasach oszczędności", Tomaszewskiego, Niklewskiego oraz Dr. Spandowskiego poświęcone kooperacyi polskiej w Poznańskiem i jej problemom (dwie ostatnie, niestety, niewiadomo dlaczego, wydane tylko po niemiecku), Dr, Taylora „O istocie współdzielczości", J. Beka „O kooperacyi spożywczej" i inne.

Do rzędu tych publikacyi przybywa obecnie nowe wydawnictwo niezmiernie ruchliwego i na tem polu Krajowego Biura Patronatu Spółek oszczędności i pożyczek, — tom o wcale pokaźnej objętości (16 arkuszy in 8⁰). Nosi on jednak odmienny charakter. Jest to zbiór szeregu artykułów, informujących o stanie poszczególnych działów współdzielczości na ziemiach polskich, a drukowanych w numerach jubileuszowych „Czasopisma dla Spółek rolniczych" w pierwszej połowie 1914 r., wydanych zaś jako praca zbiorowa dopiero obecnie z powodu wypadków wojennych. Charakter wydawnictwa jest zatem wyłącznie sprawozdawczy, zastępujący i uzupełniający zbiorową statystykę, miejscami objaśniający ustrój pewnych typów stowarzyszeń, informujący o warunkach ich pracy; syntezy żadnej ani krytycznego poglądu nie daje ono. Za dokładność i jasność informacyi ręczą nazwiska autorów poszczególnych artykułów: J, Bek, Z. Chmielewski, T. Chrza-

nowski, Er. Kamocki, A. Lincker, E, Milewski, T. Rylski, Fr. Stefczyk, W. Świniarski, E. Taylor, Wł. Tomaszewski, E. Tymiński i in. Wszystko to znani działacze na polu naszej kooperacyi wszystkich trzech zaborów.

Wydawnictwo daje prawie kompletny obraz polskiej kooperacyi nie tylko w Poznańskiem, Prusach królewskich, Królestwie kongresowem i Galicyi, lecz i na Śląsku Górnym i Cieszyńskim oraz na Bukowinie. Za zasługę wydawnictwa poczytać należy, że objęło ono ponadto i niepolskie instytucye współdzielcze na ziemiach polskich, stan których jest przeważnie bardzo mało przez nasze społeczeństwo znany i rzadko w publikacyach polskich poruszany, Ze względu na wypadki wojenne udało się przedstawić tylko stowarzyszenia ruskie i żydowskie w Galicyi, brak natomiast wiadomości o niemieckich stowarzyszeniach zaboru pruskiego, o polskich i niepolskich stowarzyszeniach na Litwie i Rusi itp. Po za programem, wskazanym przez tytuł wydawnictwa, stoją trzy artykuły o Towarzystwach i Kółkach rolniczych w Poznańskiem i w Królestwie, oraz o Towarzystwie Kółek Rolniczych w Galicyi, a więc o instytucyach, aczkolwiek nie współdzielczych, tylko asocyacyjnych, jednak stojących w ścisłym związku z narodzinami i rozwojem naszego ruchu współdzielczego, szczególniej jeśli chodzi o jego działy rolnicze, najsilniej u nas dotychczas rozwinięte.

Zalety wydawnictwa psują w znacznej mierze liczne błędy drukarskie, nieraz wpływające nawet na sens zdań i ścisłość informacyi. *Eta.*

Od Redakcyi.

Czytelników naszych, którzy dotychczas nie nadesłali prenumeraty za drugie półrocze, a pismo nadal otrzymują, prosimy o jak najszybsze jej nadesłanie.

Dokończenie pracy prof. Ign. Chrzanowskiego o „Ojcze Naszu“ Cieszkowskiego przyniesie numer 9. „Roku Polskiego“. Nadto w jednym z następnych numerów czasopisma zamieścimy inną pracę o Cieszkowskim, oświetlającą problemy religijne u tego pisarza z odmiennego punktu widzenia.
